W MONTMORENCY,

u dawnego grobowca Mickiewicza.

I.

Tłumy ludzi obojéj płci, wszelkiego wieku i stanu — pradziadkowie, dziadowie, matrony, młodzieńcy, dzieci, wyrobnicy, panowie, panie, służące — zalegają cmentarz, cisną się dokoła żelaznéj kraty i marmurowéj płyty z płaskorzeźbą popiersia i imienia wieszcza. Pochłaniająco przeważa ród męski; wszyscy z odkrytemi głowami, w postawie pobożnéj, milczący i zasłuchani. Mowę wygłasza, od trzech blisko kwadransów, Franciszek Grzymała, staruszek niski, krępy, łysy, piegowaty, ospowaty; cedzący słowa równo i jednostajnie, tonem kaznodziejskim, rozpaczliwie jękliwym, a przez nos. Rodakom co do litery toż samo opowiadał on już, w tymże dniu i miejscu, o téjże godzinie, przed rokiem, przed dwoma, przed trzema, dziesięciu, piętnastu, dwudziestu... — przed trzydziestu laty. Ale to nic nie znaczy: z równém namaszczeniem powtórzy to jeszcze w roku przyszłym i dalszych, do ostatka dni swoich.

Nawprost Grzymały umieścił się młodszy od niego o pół stulecia Aleksander Wernicki; chustką czerwoną wyciera wciąż okulary, które machinalnie obraca w ręku; na miękkich, łagodnie zarysowanych jego ustach błąka się uśmiech politowania i sarkazmu; pot grubemi kropla-

mi spada mu z szerokiego czoła na twarz chudą, lecz czerstwą i rumianą, opruszoną zarostem rudawym. Przygotował się Wernicki do odpowiedzi na arystokratyczne wywody Grzymały z punktu demokratycznego — i czeka, doczekać się nie może. Grzymała jednak, nie w ciemię bity, nie tak prędko pozwoli rywalowi przyjść do głosu.

Słońce jak w raju; powietrze do omdlenia słodkie. Druga połowa maja w pełni blasku i rozkwitu. Bzy, akacye, czeremchy leją aromat odurzający. Las po pagórkach okolicznych, zarośla po dolinach bliższych, wtórują sobie do pieśni wiosennéj, — smętnéj, cichéj, poważnéj, a tak łudząco szmer wiatru stron nadniemeńskich naśladującéj, że się aż w piersi na płacz zanosi. Nad kobiercem łąk bujnych, okwieconych, nad łanami rosłéj, ciężkiéj pszenicy zwiesza się ciepły, przezroczysty błękit niebios Francyi wspaniałomyślnéj. Na widnokręgu, w gąszczach zieleni toną białe domki miasteczka d'Enghien i stacyi kolei du Nord; do uszu niewyraźnie dochodzi zduszony odgłos pociągu, kłębki popielato różowego, słonecznemi promieniami przetkanego dymu ciągną się w téj chwili sznurkiem wątłym, urywanym, mknącym coraz daléj i daléj na wschód, aż wreszcie zaciérają się i nikną... Fala zamętnych wrażeń i przypomnień z lat młodocianych, szkolnych — i późniejszych, uderza do głowy z rozwianiem się tych obłoczków, z ich zasunięciem się za siny zrąb horyzontu. Luźne, poprute, pogmatwane wątki początków i końców z przed lat pięciu, z przed lat trzech, tu wcześniejsze, tam późniejsze, kojarzą się to tu, to tam z różnorodnemi motywami arcydzieł wieszcza, tworząc razem całość chaotyczną a barwną, na pół żyjącą w duszy, na pół już obumarłą, dziś zaś po nowym szeregu lat dziesiątków osłoniętą i pokrytą niby mgłą grubą, za którą rzeczy i ludzie przedstawiają się jak we śnie dawnym, dalekim. Dom rodzinny i pierwszy wileński tomik dzieł Mickiewicza z zagięciem na wierszu: „Spojrzyj Marylo, gdzie się kończą gaje"; późniéj gimnazyum białostockie, rój kolegów, odświeżone po wojnie krymskiéj życie, wprowadzony do szkół wykład języka polskiego i ukazanie się w księgozbiorze gimnazyalnym merzbachowskiéj edycyi „Grażyny", „Wallenroda", „Pana Tadeusza", Prelekcyi; daléj wyjazd na uniwersytet nieskończenie długim, w piaskach lub błocie nurzającym się gościńcem Wasilkowa, Sokółki i Grodna, podmytego głębokim, urwistym parowem „błękitnego" Niemna, saharskie okolice Merecza, gwarna, leśna, krzyżami zasiana Litwa z zaczajonym w kotlinie grodem Giedymina— i „Wilia naszych strumieni rodzica"; znów gościniec wyboisty aż do Wiłkomierza, znów wzbałwanione morze pagórków żmudzkich, płaskie kresowe ziemie naddźwińskie, zamożne Inflanty, zielone kopuły Pskowa, historyczna dziedzina wielkiego Nowogrodu, raz jeszcze go-

ściniec równy, samotny, bez końca, wśród ziemi tak pustéj i niezaludnionéj, jak gdyby wczora wieczorem stworzonéj — i wreszcie miasto Piotra Wielkiego: „Ulice szerokie, długie, jak wąwozy w górach, domy ogromne, tu głazy, tam cegły, marmur na glinie, glina na marmurze, a wszystko równe, dachy i ściany...”

Usypiający i jak kolasa po gładkim bruku rozdudniony głos Grzymały płynie tymczasem i płynie, podtrzymując w zgromadzonych, uzupełniając w nich kołowanie złudzeń poetyckich i omamień rzeczywistości z czasów minionych, domierających, zamarłych... Nagle zamilkł. Cisza, — nikt głowy nie podnosi. Wernicki po raz ostatni ociéra czoło i okulary. Nie zwleka. W mgnieniu oka chwyta opuszczony bagaż końcowych słów poprzednika i na własny wózek go przerzuca. Jazda daléj. Ale jedzie się już tym razem inaczéj. Ostry, krzykliwy ton wymowy reprezentanta demokracyi zbawiennie oddziaływa na słuchaczy: cucą się, otrząsają z mar i dum roztętnionych, spoglądają po sobie. Rumor wyraźnego zadowolenia wydziéra się ze wszystkich piersi... Wernicki widomie wysforował się na grunt twardy, realny. Odwraca na nie poruszony przez Grzymałę temat przeniesienia zwłok wieszcza do Krakowa i podniecany przez bliżéj stojących, głównie przez Krystyna Ostrowskiego, tnie, rąbie Austryaków za wszelkie bywałe, niebywałe, możliwe i niemożliwe ich winy... Czyście już zapomnieli o roku czterdziestym szóstym, czy wam nie znana ohyda polityki rakuskiéj, czy nie słyszeliście o saturnaliach na Węgrzech po kapitulacyi w Villagosz?... Napomykacie o konstytucyi austryackiéj... Świetna racya, ani słowa. Alboż i przedtém Austrya konstytucyi nie miała i ich nie gwałciła?... Spytajcie d-ra Smolki, on wam powié, ile warte habsburskie te patenty. Wiedeń zbombardowany, Praga zbombardowana, Lwów zbombardowany — oto i cały parlamentaryzm austryacki...

Mówił Wernicki śpiewnie, mocno zabarwionym akcentem białoruskim, ale wyśmienicie, bo jędrnie, zawzięcie i najzupełniéj w „duchu czasu”... Ach, jakże szybko zmieniają się te czasy, jak rychło starzeją! Zaledwie dziesiątą, czy dziewiątą tylko jeszcze rocznicę zgonu Mickiewicza święcono oto w Montmorency, a już obchód cały miał w sobie coś sędziwego, coś przebrzmiałego wśród téj gromady świeżych przybyszów. Z osobistych przyjaciół poety żyło wtedy tylko kilku: Bohdan Zaleski, Aleksander Chodźko, Seweryn Goszczyński. Z kolegów na katedrze profesorskiéj w Collége de France Michelet pisał swą „Historyę wieku XIX”, Quinet kończył znaną pracę „Duch nowy”, — nie zachwycano się ani jedną, ani drugą. Zaciérały się coraz głębiéj tradycye i dążności epoki, kiedy trzem apostołom przeobrażenia stosun-

ków ludzkich na modłę idealną urządzano w Paryżu pochody uroczyste. Inne powstawały prądy, inne rodziły się pragnienia, inaczéj zakwitała umysłowa niwa pokoleń młodych. Wschodziła długo przedtém w ciemnościach ukryta gwiazda pozytywizmu Comte'a, ponura walka o byt Darwina podsuwała się pod podwaliny dawnéj moralności, empiryczny szematyzm Milla, fatalistyczny krytycyzm Taine'a ogarniały zwolna całą współczesną literaturę i umiejętności ścisłe. Za logiką materyalizmu w filozofii szła logika pesymizmu w polityce i stosunkach międzynarodowych. Hasła: powodzenie przed zasługą, fakt przed ideą, siła przed prawem! — już się rozlegały z mównic europejskich.

Rozum nie zakładał przeciwko temu protestu; uczucie jednak, — ono gryzło się i skwierczało okrutnie. W podłużnéj sali lewego skrzydła Kolegium francuskiego, odgrodzonéj matowemi oknami od głuchego dziedzińca, na katedrze, z któréj przed laty poeta nasz swe improwizacye wygłaszał, obecnie dla kilku rzadkich przychodniów prof. Foucoux odsylabizowywał prasanskryt świętych ksiąg Wedy; Renan tłómaczył hebrajski tekst Izajasza. Setki godzin spędziło się w przesławném audytoryum, — ale dusza, cierpka i stęskniona, o tyle tylko lgnęła do tych modłów i proroctw z nad Gangesu i Jordanu, o ile w nich posłyszéć lub doszukać się zdołała czarujących odgłosów z lat 1840—43. Zewnątrz murów szkolnych oddychało się również tém samém powietrzem moralném, w którém gorzał szlachetny i wyniosły geniusz największego z naszych wieszczów — i w niém też trawiło się sunące leniwo lata rozmyślań, to podniecanych nadziejami, których żywa dusza nie podzielała, to zasępionych zawodami, nad któremi nikt, okrom czterech ścian poddasza, nie bolał i nie płakał... A w tych rozterkach wewnętrznych, w tych rekolekcyach ascetycznych doradcą i pocieszycielem, rozjemcą i najwyższym sędzią był zawsze nieśmiertelny twórca „Dziadów", „Pana Tadeusza"—i prelekcyi, przedewszystkiém prelekcyi!

Dzieło, zaiste, olbrzymie, niesłychane. Jakkolwiek dorywczym był w niém szereg poglądów i orzeczeń profesora, odlanych w formie poetycznych raczéj odgłosów wiedzy, niźli pod postacią opracowań ścisłych, hartowanych w ogniu poszukiwań naukowych, — ogólna jego zawartość była — pomimo to — i pozostała zachwycającą. Nieprzebrana jéj rozmaitość, roztoczona wzdłuż pięciu tomów tekstu francuskiego, poprawionego w r. 1849 przez Mickiewicza, poruszała w sposób nad wyraz wysoko nastrojony najdonioślejsze lub najdźwięczniejsze struny zagadnień moralnych, literackich i politycznych, dotyczących Słowiańszczyzny. Historya, filozofia, ustawodawstwo, poezya, lingwistyka, sztuka, archeologia zbiegły się pod stereoskop czarownéj

wyobraźni wieszcza, okryły się szatą przepychu iście wschodniego, zajaśniały blaskiem, rzecby można, nadziemskim. Co za obrazy, co za widnokręgi! Tu złotolite, jak z palety Matejki zawczasu wykradzione, sceny z czasów Batorego lub Skargi, tam purpurowe ruczaje bojów na Kosowém polu, ówdzie sine od złowrogich widzeń okopy św. Trójcy, gdzieindziéj blade od przerażenia widma przepowiedni Wernyhory, — a wszystko razem przewinięte wstęgami, oprawione w ramy rzeczywistości, to tętniącéj wśród czarnéj nocy jak u Grottgera, to dziarsko rozpędzonéj jak u Chełmońskiego, to znów wrzaskliwéj i tłumnéj jak u Sienkiewicza. Barwne to, olśniewające tysiącami ogniów najczystszego uczucia braterstwa plemiennego, uświęcone wyższą od niego wspólnością duchową chrześciańskiéj cywilizacyi zachodu, serdecznie drgające od oczekiwania wielkich wypadków, ponętne zaś — do zawrotu głowy. Czas, nieodzownie, poczynił tu swoje wyłomy, luk pełno wszędzie; o literaturze bulgarskiéj (wówczas prawie nie istniejącéj wcale) ani słowa, Rusini zapomniani, o Słowakach węgierskich głucho, w ziemi chorwackiéj pusto. Krytyka również zrobiła swoje: odrzuciła niejeden rodowód nabuchodonozorski, zdarła niejeden rękopis królodworski...

A z rzeczy, które przeżyć zdołają zwyciężonych i zwycięzców, ileż ocalało? — Bez liku. Jeżeli przypuścimy, — co nie zdaje się być rzeczą wątpliwą, — że z książką każdą sprawa się ma najzupełniéj jak z mową narodu, że „siła jéj zostaje w stosunku prostym do ilości zawartych w niéj prawd, nie zaś zdarzeń” (Prelekcye, wyd. 1860, t. I, str. 45), w takim razie w Mickiewiczowskim kursie literatury zdarzenie gołe jest jak czółenko drobne, prawda — jak ocean pod niém. Misterna, Buckle'a dopełniająca teza o wpływie nietylko gleby na człowieka, lecz i człowieka na glebę (I, 57 — 58); związek czci przyrody u Słowian z organizyą ich społeczną i dążnością demokratyczną (66); wykaz dodatnich i ujemnych stron dualizmu kościelnego w rozwoju Słowiańszczyzny (148, 155); rola tryumfu i klęski w zakresie wytwarzania się w dziejach i teraźniejszości poświęceń i bohatérstwa (233); dziwne a krańcowe podobieństwo do siebie dwóch różnych stanów rozwiązłości społecznéj u Słowian (II, 114); spełniona pod tym względem przepowiednia jednego z najzacniejszych monarchów słowiańskich (133); powszechne zaćmienie sumień i rozumu słowiańskiego, wśród którego niknie w ostatku prawo lub możność przestrogi (270); świetna teorya oddziaływania świata niewidzialnego (według Spencera „niepoznawalnego”, albo też, według Wundta nieświadomie budzącego się w każdym akcie świadomości naszéj), — teorya przyjęta w okresie pomickiewiczowskim jako postulat wszelkiéj działalności umysłowéj, etycznéj i este-

tycznéj (368), — wszystkie te lub im pokrewne i do nich podobne wskazania prawd i doświadczeń, przeniesione z Mickiewicza bądź do dyskusyi, bądź do stwierdzenia, ileż świeżego powietrza, ile przestrzeni wolnéj i jasnéj dodałyby niejednemu tegoczesnemu, erudycyą przeładowanemu dziełu o Słowianach, — które, aczkolwiek nieraz informacyjnie zasobne i bogate, tendencyjnie skrupulatne w szanowaniu drażliwości cudzych i ostatecznie wielce zapewne pożyteczne, to jednak wygląda jak gdyby było bez perspektywy, bez świata i bez celu...

....Ale oto już i Wernicki skończył swą perorę. Cmentarz się opróżnia. Po wzgórzach rozkładają się tabory pątników. Pieśń płynie, krzyżując się z wesołym chichotem dziatwy, z dźwięcznym, serdecznym szczebiotem dziewcząt, z surową, pełną powagi pogawędką ojców. Tu, przed nami, wciskające się po za kratę ciepłe strumienie pochylającego się ku ziemi słońca oblewają naraz strugą gorącego światła płaskorzeźbę, — ciemną dotąd, zakurzoną, pajęczynami zasnutą, w kilku miejscach popękaną, uwydatniającą twarz smętną i zbolałą wprawdzie, lecz zimną, stężałą, nieruchomą, nic na razie nie mówiącą. Twarz się ta ożywia teraz, zmartwychwstaje... Zatrzymajmy się przed nią chwilę. Może ona nam powié cośkolwiek i o tych urojeniach głowy genialnéj, które pod mianem mesyanizmu zaliczone u nas zostały do najzłośliwszych zboczeń i objawów patologicznych ducha narodowego.

II.

Jak długo trwać może odlane w metalu, odbite w kamieniu cielesne oblicze wielkiego człowieka, — niezatarte, niewygładzone z zasadniczych znamion swojego wyrazu? — Nagrobek w Montmorency smutne w tym względzie składa świadectwo; ale mamy jeszcze na to rekurs: w odpowiedzi samego Mickiewicza, w jednym ze szczegółów jego życiorysu. Zwiedzając w latach 1829 — 30 zabytki dawnego Rzymu, poeta oglądał między innemi i posąg Marka Aureliusza, „stojący teraz w Kapitolu", — a opisany „wiernie" w znanym wierszu, którego każdy wyraz uwydatnia się dokładnie, mocno i twardo, jak kiedy rzeźbionego śpiżu palcami się dotykamy: „piękne, szlachetne czoło, na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa, rękę poważnie wzniósł jak gdyby wkoło miał błogosławić tłum swego poddaństwa..."

Wynika stąd, że i pomniki które obecnie, za dni naszych dźwigamy ludziom wielkim i zasłużonym, niemniéj wyraziście i „wiernie"

ostoją się i oprą niszczącym wpływom czasu i otoczenia, jak się oparła i ostała podobizna najzacniejszego z mężów starożytności, witanego niegdyś, przed tysiąc sześciuset laty okrzykami wszechwładnego ludu rzymskiego: „Cesarz, ojciec nasz powraca!..."

Chybaby piętnaście czy szesnaście wieków, które ludzkość ma przed sobą — do owéj doby — do przebycia, burzliwszemi jeszcze i bardziéj barbarzyńskiemi być miały od przebytych; ale jestto przypuszczenie możliwe tylko, nie zaś prawdopodobne. W warunkach złagodzonego, urównoważonego rozwoju cywilizacyjnego, z wszelką pewnością oczekiwać należy, że okres lat od r. 1898 do 3450 po Chrystusie wolny będzie od plag i plam takich, jakiemi przepełnione są dzieje okresu od r. 180 do 1830.

Czy bylibyśmy w stanie sięgnąć myślą lub wyobraźnią w przyszłość tak stosunkowo od nas odległą? czy zdołalibyśmy przeczuć i odgadnąć tryb bytu, widoki i troski, nadzieje i pożądania pokoleń, które żyć będą w czterdziestém owém stuleciu ery naszéj? czy potrafilibyśmy przeniknąć i zbadać wrażenia i wyobrażenia, jakie w duszach pokoleń potomnych budzić się będą — wobec np. popiersia lub posągu Mickiewicza—o nas, o naszych dzisiejszych troskach, przejściach i losach?

Zagadnienie rozwiązalne czy nierozwiązalne w granicach ścisłego rozumowania nie jest bynajmniéj czczém lub dowolném. Przyszłość, raz dalsza, drugi raz bliższa, należy do najbardziéj realnych pierwiastków duchowéj istoty człowieka, określa i powoduje dobrą połowę naszych zabiegów doczesnych, stanowi jedną z najsilniejszych dźwigni prac i przedsięwzięć, podejmowanych,—jakby się zdawało na pierwszy rzut oka — wyłącznie dla siebie, dla chwili bieżącéj. Powietrze tego co być ma, co nastąpi jutro, pojutrze, kiedyś, tak dalece oblèwa i tłoczy nas zewsząd, czy to jako nadzieja, czy żądza lub pragnienie, — do tego stopnia przesiąka nietylko czynności nasze świadome i celowe, ale i najskrytsze zakątki tak zwanego instynktowego naszego istnienia, że ta jego wszechobecność staje się powodem omamień niesłychanie trudnych do rozwiania i rozwikłania. Wstępujemy po szczeblach teraźniejszości na piętra przewidywane dopiero, — podążamy gościńcem współczesności ku miejscom lub chwilom zaledwie dopiero pożądanym; faktycznie, nie mamy jeszcze pod swojemi stopami tych pięter nad nami zawieszonych, nie osiągnęliśmy tych chwil i miejsc celowo wytkniętych, zamierzonych; we wrażeniach naszych zaznacza się tylko bieżący, natychmiastowy trud pochodu i wznoszenia się momentami usiłowań wykonawczych, i one to wyłącznie pochłaniają całą naszą uwagę... Ilekroć przeto w świadomości naszéj sumujemy następnie te usiłowania współczesne, teraźniejsze, wyglądają one, jak gdyby same

jedne zawierały w sobie całość akcyi ze wszystkiemi jéj motywami; żądza, przewidywanie, pobudka, cel, jako wciąż zawieszone przed nami (w przyszłości), nie pozostawiały śladów we wrażeniach, przeto i do rachuby nie weszły, pomimo że bez ich współudziału i pomocy nie byłoby rezultatu. Matka osłaniająca resztkami zdrowia swe niemowlęta, stadło wyrobnicze oszczędzające okruszynę chleba przed widmem nieznanego jutra, żołnierz krew swą i życie niosący na boje,—alboż bronią tego, co jest lub było? Nie,— tego co być powinno i co będzie. Przyszłość jest tu podnietą i wodzem, choć trąb jéj nie słyszymy i buław nie widzimy.

A wszakże na złudny temat, że „obecność jest wszystkiém", tworzyła się u nas, w epoce Mickiewicza, osobna doktryna „spontaneizmu deterministycznego"—rodzaj improwizacyi czynnéj, czy téż działalności improwizacyjnéj. Było to, jak się zdaje, mętne odbicie dwu prądów górujących podówczas na Zachodzie: rewolucyonizmu i mistycyzmu. Pomysł pierwszych pism Trentowskiego, polegający na tém, jakoby sama tylko „teraźniejszość" była „żywą", istniejącą i działającą—pomysł zaniechany lub zmodyfikowany późniéj przez dodatkową formułę, że „przeszłość w nas żyje"—Stefan Garczyński odział w wierszu, którego obronę, jak w wielu innych wypadkach, wziął na siebie Mickiewicz przez przyjaźń.

„Teraźniejszy tylko świat jest boski, jest wielki;—przeszły, przyszły jest niczém..." —pisał Garczyński. Objaśni to Mickiewicz po swojemu, to jest wśród chorobliwych nawet spaczeń natchnienia—genialnie, bez zarzutu prawie. „Zdawać się to może dziwném—powié—że poeta i filozof (Garczyński i Trentowski), ze szczepu nie odgrywającego obecnie roli bardzo świetnéj, przywiązali się do chwili teraźniejszéj, ale ta chwila, według nich, jest to działanie, życie, siła, jest to owoc dziejów przeszłych, zaród przyszłych. Tym sposobem pomniki piśmienne, wszelkie szczątki przechowujące pamięć tego, co minęło, wszelkie okruchy przeszłości, któremi tak się chełpią niektóre narody, są niczém w tém pojęciu słowiańskiém, bo przeszłość powinna się znajdować cała w duchu ludzkim, który zawsze jest obecnością"... Możnaby tu przerwać nauczycielowi i zagadnąć go: jeżeli okruchy wieków minionych są tak marne, to cóżby się stało z przepyszną strofą o Marku Aureliuszu, gdyby śpiżowy szczątek „ojca narodu na Kapitolu" istotnie był „niczém"?... Samo postawienie tego pytania prostuje i naprawia sprawę realnego w pojęciach naszych znaczenia przeszłości. Ale to dopiero jedna połowa twierdzenia. Daléj tak się Mickiewicz wyraża: „Podobnież i przyszłość, jako nadzieja filozoficzna do urzeczywistnienia, nie liczy się za nic w życiu obecném, w wielkiém życiu rodu ludz-

kiego; dopiéro duch człowieczy, realizując skupioną w sobie przeszłość, ciągle daje początek przyszłości"...

Przyszłość za nic się nie liczy w życiu obecném, a jednak życie, urzeczywistniając skupioną w swym duchu przeszłość, wyłania powoli przyszłość,—t w o r z y j ą poniekąd. Zamglone to jeszcze, sprzecznością niejaką nacechowane, ale już zupełnie co innego zapowiada, niźli w Garczyńskim i Trentowskim. Pokazuje się z komentarza Mickiewicza, że między nami, pra-pradziadkami tych pra-prawnuków naszych z roku 3450, którym zbiorowemi siłami przekazać-byśmy chcieli niespożyte świadectwo czci naszéj dla wieszcza, istotnie zachodzi związek pewien, stosunek uwzajemnienia i być może pokrewieństwa, nie stwierdzający zdania, jakoby „w życiu obecném przyszłość za nic się nie liczyła"...

III.

„Ziemia potrzebuje ratunku; epoka nowa wymaga nowego uczestnictwa w sprawie powszechnéj". Poeta nader szczegółowo i starannie odróżnić usiłuje prawdy cząstkowe, ułomne, starzejące się od téj jednéj, która posiadać powinna najwyższy możliwy stopień uogólnienia, trwałości i pewności. Warunek pierwszy i najważniejszy do osiągnięcia owego „powszechnego" poglądu na świat i człowieka, na ich zależność od siebie i na kardynalne obowiązki wypływające stąd dla nas, istot czułych i rozumnych, polega na wyzwoleniu się z jarzma doktrynerstwa, na uświadomieniu w głębi swego jestestwa, że jakiekolwiek byłoby nasze przywiązanie do pewnéj idei, do pewnego kierunku naukowego, — źle czynimy, gdy przypuszczamy, iż światło przez nas posiadane jest bez skazy, nie zwodzi nas, nie myli. Wątpienie, jako niezbędny punkt wyjścia w poszukiwaniu mądrości, zasada to starożytnych Greków, odnowiona przez Kartezyusza; ale Mickiewicz ze szczególną siłą i dostępnością uwydatnia tegoczesny i życiowy od niéj odskok tych, co w książkach wyławiają to tylko, „co nie obraża ich miłości własnéj, co ich do niczego nie obowiązuje, nie popycha do odważenia się na cokolwiek, nie wymaga od nich żadnéj ofiarności, żadnego poskromienia swojego widzimisię. Prawda (dodaje) ma być dla tych ludzi dostępną, łatwą do zrozumienia, zalotną"...

Alboż nie tak? Alboż na własne oczy nie widzieliśmy i nie widzimy, że nawet w tak krótkiéj dobie zdarzeń, jak okres lat pięćdziesięciu od r. 1844, prawda powszechna rzeczywiście obróciła swe oblicze w stronę „wniebogłosów" słońce przyszłości istotnie zbliżyło się do ziemi o jakąś tercyę, o jakąś sekundę?... Treściwie i zwieźle, lecz stanowczo stwierdza to poeta. „W zakresie właściwym — (są jego słowa)

a téj saméj pomocy, co i nieszczęśliwy lud izraelski, wzywają zarazem i wszystkie wznioślejsze umysły Zachodu; usiłują znaleść ją nawet doktrynerzy, sami o tém nie wiedząc". Twierdzenie zaś to Mickiewicza szerzéj i wedle reguł umiejętnych rozwinął za dni naszych jeden z największych właśnie doktrynerów zachodnich, najtęższy umysł współczesny, historyk, lingwista, filozof, od którego imienia, zdaniem Brandesa, wiek XIX otrzyma kiedyś swą nazwę, jak wiek XVIII otrzymał swoją—od Woltera. Żegnając w imieniu Francyi i najwyższéj jéj instytucyi naukowéj śmiertelne szczątki wieszcza, opuszczające grobowiec w Montmorency, człowiek ten wyraził samochwalcze przekonanie, że jedynie znikome popioły Mickiewicza opuszczają ziemię francuską, duch zaś jego—zasadniczo f r a n c u s k i—pozostaje we Francyi. Dziwna ironia losów! W tymsamym czasie, w téj saméj niemal chwili znakomity ów przedstawiciel Francyi i wieku naszego pisał przedmowę do swego dzieła: „Przyszłość wiedzy", — a w niéj „duch francuski", duch XIX stulecia dosłownie, co do litery powtórzył—jako ostateczną i najwznioślejszą swą syntezę,—twierdzenie naszego wieszcza, wygłoszone o pół wieku wcześniéj... Spójrzmy na tę ciekawą zamianę inicyatywy i przodownictwa, na to podszycie się idei francuskiéj pod myśl polską.

Wyczerpała się, znikczemniala ta nasza cywilizacya dzisiejsza—powiedziano w „*Przyszłości* wiedzy". Jéj widnokręgi się zacieśniły i zaciemniły. Na wszechświat, na jego cuda i uroki szklanemi, obumarłemi oczyma dziś spoglądamy i nieraz nam się wydaje (a w gruncie rzeczy to i jest tak zapewne), że cały ów rozwój ludzki wart sam przez się zaledwie tyle, co mech lub liszaje okrywające wszelką powierzchnię wilgotną. Rozbicie, niesmak, zniechęcenie, rozczarowanie wyniosły się po nad wszystko inne i nad wszystkiém inném górują. Domniemanie osobiste i samowola indywidualnego czynu tak dalece podbiły i zagarnęły pod siebie karność społeczną, wyćwiczoną niegdyś w twardych karbach władzy bezwzględnéj, nieomylnéj, nietykalnéj, że obecnie ani o samorzutném zjednoczeniu serc, ani o przymusowém skojarzeniu dłoni marzyć nie podobna. Nawet zcalenie i zjednoczenie wyznań religijnych odrodziłoby wśród téj rozsypki jedynie anatyzm i ciemnotę wieków dawnych. Najpilniejsze, najbardziéj piekące, p o w s z e d n i e potrzeby życia bezustannie, na każdym kroku potrącają o pytania: co jest moralném i godném naśladowania, a co naganném i na potępienie zasługuje? — Tymczasem zaś nikt racyonalnie odpowiedzieć na to nie umié i nie zdoła, gdyż to, co słuszne i godziwe według jednéj hypotezy, bezecném i zbrodniczém mieni się na podstawie hypotezy drugiéj. Alboż honor, prawość, cnota jedno znaczenie mają u męża stanu i socyalisty? u kapłana i przemysłowca? u anacho-

rety i epikurejczyka? u postępowca i wstecznika? u myśliciela i artysty? — Polityka, ekonomika, metafizyka, stosunki rodzinne, pożycie towarzyskie wyschły jako piaszczyste stepy afrykańskie, gdzie każdy podąża na chybił trafił, na północ, na południe, na wschód, to według nakazu najbliższéj swéj koteryjki, to wedle wskazówki tygodniowego doświadczenia, — byle iść, byle nie stać na miejscu. Trudami bez wytchnienia i przerwy wiek nasz niesłychanie pomnożył fachowe znawstwo faktów konkretnych, ale na ogólne przeznaczenie ludzkie spadła stąd grubsza, niż kiedykolwiek, zasłona niewiadomości. Ludzkość zaciągnęła się jakby do potwornéj gry w skutki przed przyczynami w środki bez rezultatów, w zdobycze wbrew i pomimo zasług. W jakikolwiek punkcik wpakowałeś kulę powodzenia, tam i celność ci przypiszą, tam i prawo twoje. Bez sternictwa wiary jakiéjkolwiek i w cokolwiek, bez żagli natchnionego czémkolwiek wyższém pragnienia i upodobania płyniemy ku nieznanym i niepożądanym brzegom, pośród skał i mielizn podwodnych—mianem przypuszczeń naukowych ochrzczonych, nie wytykających nam bynajmniéj, ani jaką jest wola ślepego bóstwa „przyrody", ani jaki jest powód wędrówki po przez puste i głuche przestworza „wszechświata"... Gdzie jest gwiazda przewodnia? Rada tych, co nam poprzestać każą na mgłach doczesności, zamknąć się w skorupce zjawisk zmysłowych i skróciwszy perspektywę oddać się uciesze najbliższéj, podręcznéj, jest poprostu wstrętna, niemożliwa do przyjęcia. Dobrobyt? zachwyt nad sztuką? sława może? Ale czémże jest sława bez nieśmiertelności, jeżeli nie fosforyczném błyśnięciem robaczka w ciemnościach nocy wiekuistéj?... Otwarcie wyznaję — kończy Renan, — że nie spostrzegam, jakimby sposobem odbudowane być mogły podwaliny życia choć cokolwiek spokojniejszego i szczęśliwszego, bez odwołania się do dawnych wierzeń, bez ściągnięcia ich napowrót na nasze padoły, — oczywiście w szacie zasady sprawdzalnéj, pojętéj realnie, rozumowo. Doniosłość bowiem i pożyteczność wszelkiego czynu ludzkiego, moc i rozległość wszelkiéj intuicyi umysłowéj, alboż czém inném w obrachunku wieków szacują i mierzą, jak krótszém lub dłuższém ich promieniowaniem na potomne czasy? Alboż nie jedynemi probierzami prawd społecznych ułamkowych, dzisiejszych, są wyroki prawd całkowitych, nieśmiertelnych,—tych, na które, być może, dopiéro setne i tysiączne pokolenia zapracują?...

Takiém jest ostatnie słowo wiedzy kończącego się stulecia; pierwsze — jak wiemy — wyrzekł Mickiewicz. Nie nastajemy jednak na kwestyę rodowodu wyobrażeń, albowiem nie tyle tu chodzi o metrykę danego p o m y s ł u, ile raczéj o drogi i sposoby życiowéj onego realizacyi.

IV.

Doskonaleniu się ludzkiemu kładziono w różnych czasach rozmaite granice.

Z pisarzów znanych Mickiewiczowi i przez niego przytaczanych jeden tylko osławiony autor „Wieczorów petersburskich", de Maistre, stanowczo i bezwzględnie zaprzeczał rodzajowi ludzkiemu wrodzonych, w naturze jego złożonych uzdolnień do postępu i wznoszenia się na coraz wyższe stopnie rozwoju; wręcz odmiennego zdania był Gibbon, uczony i poważany historyk starożytnego Rzymu. Vico, filozof włoski z początków wieku XVIII-go, mniemał, że dzieje powtarzają się w pewnych okresach i zwrotach kolistych, czyli cyklach, noszących u niego miano *ricorsi*. Jego „*Scienza nuova*" dostarczyła Heglowi wątków do znanéj teoryi trójcowego przewodu dyalektycznego, w którym pierwotne *ricorsi* wiążą się z sobą łańcuchem śrubowym bezprzerwnym. Condorcet, z końca wieku XVIII go, ciągłość tę wykładał więcéj prostolinijnie i kresu w postępie ludzkości nie przewidywał. Nowsi badacze i myśliciele, głównie z obozu t. zw. pozytywistów, jak np. Comte, Buckle, Spencer, znacznie skromniéj wyrażali się o potędze wpływów człowieka na otoczenie materyalne i o rozmiarach jego zwycięstw na tém polu dokonanych lub kiedykolwiek dokonać się mających.

W okresie Mickiewiczowskim, pod koniec pierwszéj połowy naszego stulecia, pozytywizm zaledwie dopiéro dojrzéwał w głowie St. Simona i jego ucznia Comte'a, zaś idealistyczne uniesienia jego poprzedników hamował w nauce jedynie empiryzm Bakona, sceptycyzm Hume'a, tudzież relatywizm Kanta, — nader zresztą ciasno i fałszywie tłómaczony. Wnioskować by stąd należało, że do egzaltacyi i entuzyazmu skłonny umysł naszego poety otworzy sobie całkiem swobodne przejścia i upusty ku krańcom widoków bezbrzeżnie szerokich, podniebnych, na tle przemagających wtedy kwiecistości eklektyzmu Cousina i wybujałéj romantyki Wiktora Hugo. Nie zupełnie tak się stało. Walery Gostomski w wyborném swém studyum krytyczném o twórcy „Pana Tadeusza" nader trafnie zauważył, że pewien ołowiany moderator, pod postacią „zdrowego litewskiego rozsądku", nigdy nie przestawał obciążać skrzydeł wieszcza polskiego w najwznioślejszych nawet jego polotach w pozaświat. Zanadto miłował Mickiewicz ludzi, ażeby mógł kiedykolwiek tracić z oczu ich siedzibę — ziemię. Ile razy uczuciem czy przeczuciem, fantazyą czy rozumowaniem ująć zamierzył w ramy pojęć dostępnych obraz przyszłego stanu społeczeństw ludzkich, wytknąć przypuszczalne linie postępu dalszego, pochwycić znamienne ry-

sy zmian oczekiwanych, odtworzyć oblicze pożądanego, ideowo możliwego ułożenia się rozterek ludzkich do zgodnego chóru, zawsze w podobnych razach trzymał się metody, która, w sprawach tak niebezpiecznych i chybkich, cośkowiek jeszcze zdolna jest obiecać i od wielu złudzeń ustrzedz, — metody historycznéj, porównawczo-historycznéj. Zestawianie dziejów *in actu* (minionych) z dziejami *in potentia* (zapowiadanych) wymyka się wprawdzie ze szranek ściśle naukowego poszukiwania, — należy ono w części do umiejętności faktycznych, w części do wytworów hypotezyjnych; wszakże, w drugiéj połowie naszego stulecia, już po Mickiewiczu, analogie tego rodzaju uprawnili przedewszystkiém sami pozytywiści, którym bezspornie należy się zaszczyt wywieszenia hasła: *savoir c'est prévoir*, — wiedziéć to tyle co wieszczyć.

Naczelną cechą historyozoficznych orzeczeń i wieszczb Mickiewicza jest apokaliptyczność, proroczość, mesyanizm, — ale kategorye te roztaczają się u niego na tle praktycznych doświadczeń rodu ludzkiego, a za podkład dla nich służy: uwolnione od przybłędnéj naleciałości majaczeń Towiańskiego (pod koniec prelekcyi w Collège de France) przykazanie, treścią swą wielce zbliżone do sławnéj formuły Kanta: działaj tak, aby postępowanie twoje stać się mogło wzorem czynności powszechno-ludzkiéj. Poeta nasz dostępniéj tylko, niż filozof królewiecki, wykłada najogólniejszy ów postulat etyczny, a wykład ten, przełożony na język mniéj metaforyczny, bardziéj odpowiadający wymaganiom trzeźwéj popularyzacyi tegoczesnéj, uważać można za jeden z najwspanialszych ustępów literatury dydaktycznéj wszystkich ludów i wieków... „Wiedza oderwana i uniezależniona od wielkich zagadnień społeczno-ludzkich posiada jedynie wartość prostéj ciekawości; podziwiamy ją, unosimy się nad nią, chlubić się nią mamy prawo, — lecz nie więcéj nad to..." Odkrycie np., że pod naszemi stopami jest ogień śródziemny wypalający się powoli, a ponad atmosferą ciała niebieskie krążą dokoła siebie według pewnych określonych modeł, należy niezaprzeczenie do najpiękniejszych; ale dodniosłém w znaczeniu ludzkiém, przeto powszechnie prawdziwém, stałoby się ono wtedy tylko, „gdyby prowadziło do rozwiązania tego, na czém szczęście człowieka zależy." Astronom odsłonił dla człowieka niezbadany zakątek nieba i majestat przyrody posunął po za granice poznanego dotąd świata, — chwała niech będzie astronomowi! Dobroczyńcą atoli nazwie go ludzkość dopiéro wówczas, gdy z tych jego rozchmurzonych widnokręgów zleje się na nas światło, co choć jednéj nędzy na ziemi ulży, choć jedno cierpienie usunie, choć jedno zziębnięte serce ogrzeje, choć jedną ciemną duszę rozjaśni. Statystyk mozołami całego żywo-

ta wykrył niezmienne odsetkowe prawo śmiertelności: błogosławione będą dni i godziny jego pracy, jeżeli się przyczyniły do zmniejszenia téj śmiertelności bodaj o jedną milionową cząstkę na każde lat tysiąc; inaczéj, trud jego zabawką. Archeolog odszukał kodeks ustaw aryjskich o pięć tysięcy lat starszy od prawodawstw Manu, Mojżesza, Solona: gdzież są hymny, któremibyśmy godnie uczcili poszukiwacza, skoro się pokaże, że znalezione księgi podkopią nareszcie i zwalą olbrzymią górę nieprawości, objętych księgami Justyniana, Fryderyka II, Napoleona!

„W życiu rzeczywistém, które zawsze służyć będzie za miarę, ile teorya warta, ludzie godziwego czynu i ludzie zacnéj pracy daleko są bliżsi prawdy od tych, co sądzą się być posiadaczami jéj z a s a d; zasady nie stosowane w praktyce stają się bezowocnemi..." Uczeni, publicyści, propagatorowie, zajmujący się wszelkiemi kwestyami, oprócz téj jednéj — owocowości dzieł ludzkich — spostrzegają się zazwyczaj na lichocie swych pościgów zawziętych nie wcześniéj, aż im się zdarzy sposobność naocznego wniknięcia w powody niepokoju, jakie jednostkę ludzką nękają w stanowczych dopiéro chwilach jéj bytu, obchodzą zaś najmocniéj naród każdy głównie w epokach przeobrażeń k r a ń c o w y c h. Wtedy to pytania: com dobrego dla świata uczynił? jaką pamięć po sobie zostawiam u innych? jawią się w całéj swéj grozie i potędze. W zakresie praw i spraw życiowych, cokolwiek kto stawia, cokolwiek podaje, prędzéj czy późniéj będzie musiał doświadczyć tego na sobie... Poświęcenie czy gwałt, wlane przez jednostkę lub zbiorowość do czary zdarzeń p o w s z e c h n y c h, wrócą na głowę potomstwa z ciężarem pomnożonym w stosunku słabego szczegółu do milionowego ogółu. Wobec tego pewnika, którego najzapaleńszy nawet materyalista nie poważy się odrzucić, — nie przeczymy, że olbrzymią zasługę wyświadczył ludzkości ten, kto sformułował prawa grawitacyi słońc,— ale jakże geniusz jego jest biédnym i nikłym wobec Tego, który serca ludzkie atrakcyą powiązał!...

Zarzuci może ktokolwiek, że za wielką wagę przywiązano tu do sił i widoków l u d z k i c h, a zanadto mało uwzględniono siły i wyroki p r z y r o d y, trzymające nas w swych więzach, fatalnie ograniczające szczytne popędy naszego serca i łańcuchem swych przykazań krępujące przykazania wieszczów...

Być może. Lecz o jakiéj to przyrodzie mowa? Czy o téj bezmyślnéj i bezlitośnéj, co ilekroć chce zniszczyć zarazek marny w zatęchłém powietrzu, uderza w niego orkanem ślepym, od którego giną tysiące istot niewinnych i dobytek pokoleń? co ilekroć pragnie coś stworzyć, idzie ku temu miliardami prób chybionych, okrutnych, zdra-

dzieckich? Czy też raczéj mamy na myśli przyrodę drugą, tę mianowicie, co bohatérowi rzucać się każe w ogień i wodę dla uratowania ostatniego nawet nędznika? co wykarczowawszy dzikie ostępy ziemi, zniewala je do rodzenia balsamów tam, gdzie wpierw rosły głogi i pleniły się gady? — To są dwie natury różne — jak bydlęctwo i jak bóstwo. Gdzie się ukazuje druga, pierwsza przed nią znika lub staje się służebnicą jéj wierną, posłuszną. Tak dotąd było na kuli ziemskiéj, tak będzie zawsze — jeżeli tylko nie opuścimy chorągwianych godeł wieszczów. I jest na to dowód, o ile być może ścisły, dziejowy.

Powoławszy się przygodnie na swego przyjaciela, Edgara Quinet'a, Mickiewicz utrzymywał wraz z nim, że ludy pierwotne nie były tak barbarzyńskie, jak mniemamy zazwyczaj. Zdanie to zapewne jest słuszne o praojcach plemienia, które dziś posiadło ziemię. Jak daleko sięgają tradycye, przedstawiają one Aryów, przodków naszych, na dość wysokim stosunkowo stopniu obyczajności, towarzyskości, wyobrażeń prawno-społecznych i religijnych. Szczególnym, niezwykłym wydaje się tylko ich nastrój umysłowy. Gdyby im np. kapłani powiedzieli byli, że nadejść mogą czasy, kiedy człowiek zaprzęże do swego rydwanu chmury i na nich zaleci na księżyc, na słońce, na gwiazdy, uwierzyliby temu odrazu. Chmury, słońca — to tacy dobrzy, tacy bliscy, dostępni przyjaciele... Ale, gdyby kto tych Aryów zaprowadził był nad ocean i oznajmił, że prawnukowie ich przepłyną z czasem na drugą stronę téj wody straszliwéj, bez dna i granic, wzięliby go bez namysłu za szaleńca. Tymczasem, jak wiemy, niepodobieństwo ówczesne stało się dziś faktem, kiedy prawdopodobieństwo dawne uchodziłoby dziś w ustach proroczych—za symptom obłąkania...

V.

Jeden z poczytniejszych tegoczesnych pisarzy rosyjskich (Pypin, w „Historyi literatur słowiańskich", t. II, str. 1107, wyd. drugie) zaznaczył nie bez pewnego nacisku, że w mesyanicznéj doktrynie Mickiewicza przyszłe stosunki społeczne, ogólno-ludzkie wieszcz nasz urządzał na podstawie d o b r o w o l n e g o związku ludów słowiańskich. Rzeczywiście, — taką jest podstawa polityki słowiańskiéj Mickiewicza. „Związek pomiędzy ludami — powiada on — opiérać się ma nie, jak dotąd, na interesie materyalnym, handlowym lub wojskowym, lecz na prawdzie w e w n ę t r z n é j („*Cours de la literature slave*", 1860, t. V, str. 6). „Dla poznania prawdy, trzeba się wyrzec wszystkiego, co nas trzyma w więzach górujących obecnie pewników doktrynerskich, zdo-

być się na intuicyę, na ów okrzyk duszy, jaki z siebie od wieków wydobywa lud izraelski... Trzeba w sobie wykrzesać ową iskrę.. ów promień rozświecający przeszłość i przyszłość, jak błyskawica rozświéca drogę przed zbłąkanym podróżnym" (*ib.*, 26, 28). „Promień i okrzyk taki dadzą żądaną dla świata ideę" (35). „Dzieło atoli genialne nie powstanie, jeśli się nie znajdzie ręka mędrca, potężna i bratnia, coby się dotknąwszy lampy misternéj, w któréj zaklęty geniusz spoczywa, pozwoliła mu posłyszéć słowo tajemnicze" (44). Żeby zaś módz to uczynić, trzeba miéć wiarę; lecz wiara dawno upadła, któż nową zapoczątkuje w sercach ludzkich? Zapoczątkuje ją mistrz, prorok, człowiek święty i dzielny, *ecce homo* epoki nowéj, osobnik-synteza, drugi Napoleon wielki (269), którego imię (w prelekcyach niedopowiedziane, czy téż wykréślone przy końcu cytaty z „Dziadów")... którego imię: „Czterdzieści i cztery" (t. V, str. 296).

Co do punktu wyjścia w tym roziskrzonym, a trudnym do zrozumienia przebiegu widzeń poety, zauważmy, że „braterstwo", pojęte jako norma stosunków międzynarodowych, jest u Mickiewicza tylko przypuszczeniem na przyszłość, hypotezą, którą „słowo" ma dowieść, a czyn urzeczywistnić. Zbytecznêm zaś byłoby dodawać, że normy téj nie stosował profesor ani do przeszłości, ani do teraźniejszości natychmiastowéj, wiedząc dobrze, że dziś „historya podobną jest do walki owadów mikroskopijnych, które się wzajem niszczą i powstają co chwila" (I, 352), tudzież, że czasy minione i obecne to grób ciemny, w którym ludzkość od wieków składała umęczonych przez siebie apostołów i zbawców. Nie trzeba było Mickiewiczowi czekać na przyjście Darwina, ażeby wiedziéć, czém są w swojéj istocie tegoczesne szranki zapasów towarzyskich, społecznych i politycznych. Dobrze znany był wieszczowi polskiemu smętny, przygnębiający, historyozoficzny wniosek Herdera: „Ilekroć zajrzysz w łono dziejów, zawsze tam postrzeżesz krew i ruinę", wśród których „rodzaj ludzki, pomimo długich, nieskończonych swych usiłowań, wciąż jeszcze zdaje się być przykutym do koła Ixiona, do skały Syzyfa i skazanym na męki Tantala" (*Phil. der Gesch*, w zbiorze dzieł, t. XXIX, str. 54 i 224).

Nie marzył więc poeta o tém, co było i przeszło, lecz troskał się i bolał nad tém, co będzie. Dlatego powiadał: „Społeczność Boża nie istniała nigdy na ziemi. Ale czy istniéć kiedykolwiek będzie i czy jest rzeczą prawdopodobną, by istniała? — odpowiadać na to przecząco nikt nie ma prawa. Przeszłość nie może być sędzią przyszłości, a zagadnienie samo, aczkolwiek, być może, obojętne i obce dla cudzoziemców, jest dla Słowian największéj wagi, gdyż w niém tkwi ich zbawienie" (t. II, str. 350).

Sprawa więc realizacyi braterstwa wraz z zagadnieniem o czasie w jakimby to nastąpić mogło, daje się jeszcze tłómaczyć. Daleko trudniejszém byłoby rozgmatwanie samego dogmatu o przyjściu „człowieka nowego" (według wysłowienia Quinet'a). Trudność spoczywa nie tyle w samym przedmiocie, ile w cudactwie opinii powziętéj o takich akcesoryach wieszczby Mickiewicza, jak ów prototyp przyszłego posłannika: Napoleon I lub owe „Czterdzieści i cztery", lekceważone i poniewierane niekiedy u nas, a bez żadnego rozumnego powodu, gdyż nie trzeba nawet być biegłym psychologiem, ażeby pojąć, iż w stanie poetyckiego podniecenia wyrazy lub obrazy drugorzędne, lgnące do całości natchnionéj i nieraz na pierwszorzędném miejscu się sadowiące, pochodzić mogą z zakresu takich szczegółów i drobiazgów życia i otoczenia, których ani sam wieszcz, ani jego najbliżsi doszukać się późniéj nie są w możności. Rozejrzyjmy się w okolicznościach i gruncie. W znaczeniu najbardziéj dostępném mesyanizm to tyle, co wiara w ludzi opatrznościowych. Błędna w oczach jednych, prawdziwa w oczach drugich, idea „jednostki wybranéj" była oddawna i jest podziśdzień dla historyków zagadnieniem najzupełniéj naukowém. Przypomnijmy sobie, że jeszcze w dziesięć lat po zgonie Mickiewicza wszelkie możebne tytuły Cezara, jako „opatrznościowca", podnieść usiłował do wyżyn aksyomatu politycznego Napoleon III ci. W głośném swojego czasu dziele, którego plan układał (jak wieść niesie) i do którego z pewnością materyałów dostarczał Momsen,—w dziele „*Histoire de Jules Cesar*" (Paryż, 1865 — 1866) główne zasady filozoficzne są jakby żywcem wyjęte z prelekcyi Mickiewicza. Powołajmy się na jeden tylko ustęp: „Ilekroć (pisze Napoleon III w przedmowie, t. I, str. 6) Opatrzność wysuwa na widownię ludzi takich, jak Cezar, Karol Wielki, Napoleon, czyni to zawsze w tym celu, by wytknąć ludziom drogi nowe, położyć pieczęć ich genialności na epoce nowéj, spełnić w latach kilku pracę wieków wielu. Szczęśliwe ludy, które przywódzców tych swoich zrozumieją i za nimi podążą. Biada tym, które ich zapoznają i z nimi do walki wystąpią! Czynią oni jako żydowie, którzy swego Mesyasza zamordowali; są one ciemne i występne; ciemne, gdyż nie postrzegają niemocy swych usiłowań, skierowanych przeciwko ostatecznemu zwycięstwu dobra; występne — gdyż powstrzymują postęp, zagradzając przed nim gościńce szybkiéj i płodnéj realizacyi." Nieco wcześniéj, w samych latach wykładów Mickiewicza lub niewiele przedtém, zdania podobne powtarzali pod rozmaitemi osłonami najgłośniejsi tamtocześni mężowie stanu, publicyści, politycy, estetycy. Ów Cezar opatrznościowy z książki Napoleona III-go zajął u Augusta Comte'a

stanowisko apostolskie, nawet męczeńskie. Twórca filozofii pozytywnéj zwie Cezara „nieporównanym, wielkim, znakomitym, wspaniałomyślnym, szlachetnym zdobywcą Galii", zbawcą ludu rzymskiego, prorokiem ludzkości; w kalendarzu swoim wszechczłowieczeńskim znaczy jego imieniem piąty miesiąc roku i utrzymuje, że umysł Cezara, „całkowicie uwolniony od ducha teologicznego i metafizycznego", o kilkanaście wieków wyprzedził i zapowiedział „myśl nowożytną", to jest myśl „pozytywizmu filozoficznego" („*Politique positive*", t. III, str. 387 i nast., wyd. pierwsze). Niemniéj od Comte'a, szczerym wyznawcą mesyaniczności w dziełach wielkich wojowników i polityków był téż i zawzięty przeciwnik Comte'a, przywódzca filozofii urzędowéj, uniwersyteckiéj Cousin, który, wypowiedziawszy wojnę analitycznéj metodzie Niebuhra, twierdził, że „Cezar uosobił w swych dziełach ducha czasów nowożytnych, demokratycznych" (gdyż wiadomo, dodawał Cousin, że nie ma i nie może być demokracyi bez pana), i taka to demokracya znalazła jakoby wzór dla siebie, mistrza i przewodnika w osobie najdostojniejszego, najmędrszego, najgodniejszego, najłaskawszego Juliusza Cezara („*Introd. à l'hist. de la phil.*", wyd. 1841 r., str. 279).

Co z Cezara i dla Cezarów uczynili historyozofowie i filozofowie z okresu kursów mickiewiczowskich, to samo zrobił dla napoleonidów, z powodu Napoleona I, polityk, historyk, publicysta i pierwszy prezydent trzeciéj rzpltéj, Thiers. Jego olbrzymie kompendyum dziejów pierwszego cesarstwa z końca w koniec stanowi jedną długą a nieznośną apologię, nie już tylko czynów wojennych i administracyjnych wydawcy kodeksu francuskiego i autora bitwy austerlickiéj, co byłoby rzeczą naturalną, lecz zarazem wszystkich jego ukrytych zbrodni i otwartych gwałtów, które Thiers wszędzie czyści i pobiela pod tym pozorem, noszącym u niego miano wyższéj racyi stanu lub konieczności położenia, że „do wielkich ludzi nie może być stosowana miara moralności pospolitéj, że to są generałowie boscy, względem których „wszelka nagana musi pozostać bezsilną", i że ogrom rezultatów przez nich osiąganych „uwalnia ich (dosłownie) od odpowiedzialności za bezprawia, nadużycia i chytrości spełniane w celu otrzymania takowych ogromów" („*Hist. du Cons. et de l'Empire*", księga szczególnie XXIX).

Przeświadczenie o istnieniu i potrzebie istnienia ludzi opatrznościowych, nadzwyczajnych, wymykających się poniekąd z ram i warunków zwyczajnego żywota ziemskiego, nie znikło zresztą podziśdzień z obiegu dociekań teoretycznych, dziejopisarskich. Przyznają się do téj doktryny najtrzeźwiejsze niekiedy umysły, jak o tém w literaturze

naszéj świadczy spór Smolki z Bobrzyńskim o cele i zadania nauk historycznych. „Jest to właśnie (pisze Smolka) cechą wielkich indywidualności historycznych, że geniusz ich umié wyzyskać materyał danych stosunków i pchnąć ich rozwój w kierunku, o którym jeszcze poprzednim pokoleniom ani się marzyło" („Szkice", t. I, str. 298). Zresztą z innego stanowiska, alboż znane powszechnie, umiejętnie zbudowane dzieło Bagehota „O prawach rozwoju narodowości" nie jest jednym z najokazalszych traktatów o tém, że zarówno cnoty, jak ułomności, wraz z całą charakterystyką towarzyską zawdzięczamy drogą naśladowniczą — osobnikom najsilniejszym, najzręczniejszym lub najrozumniejszym? — Nadto, z punktu praktyki życiowéj, alboż nie stosowną ideę ludzi opatrznościowych rozwinął Spasowicz w swém studyum o Wielopolskim, w którém z taką żywością wytknął narowy i śmieszności społeczeństwa polskiego z przed lat trzydziestu pięciu i tak niemiłosiernie schłostał „miernotę" za to, że nie poznawszy się na człowieku wyższym, dorastającym niemal do powagi kościuszkowskiéj, wystąpiła z nim do walki zgubnéj, śmiertelnéj („Pisma", t. III, str. 143—44, 246—48).

Nie ma przeto i w mesyanizmie Mickiewicza nic dziwacznego lub cudackiego; jest to wyobrażenie zupełnie proste, w literaturze historycznéj utarte i tém się tylko wyróżniające u naszego wieszcza, że się na świat ukazało w powijakach mistyczno-poetyckich. Czy było ono u Mickiewicza oddźwiękiem mniéj więcéj uświadomionym współczesnych z jego wykładem prądów i dążności? czy nosiło na sobie „znaczek fabryczny" wytkniętych tylko co sorbońskich proroków i kapłanów z urzędu, produkujących posłannictwa obstalowane z góry lub tak oszlifowane eklektycznie gwoli gminnego kursu, że służyć mogły na wszystkie tryby, czasy, przypadki, formy i osoby polityczne, czy to liczby mnogiéj czy pojedyńczéj?

Lekki cień posądzenia w tym sensie pada istotnie na mesyaniczne pomysły Mickiewicza, ale pada jedynie z przyjętego przezeń napoleońskiego „arcytypu" posłanniczego, z powodu mylnie powziętego pojęcia o doskonałości i świętości postaci, któréj sam wieszcz nie zbadał, zbadać nie mógł na podstawie świadectw autentycznych, wówczas jeszcze nie ogłoszonych, a którą dopiéro po upadku Napoleona III-go i po należytém wyświetleniu dokumentów archiwalnych ogołocili z aureoli „apostolskiéj" tacy dziejopisarze, jak Lanfrey lub Michelet (w dziele p. t. „Historya wieku XIX-go"). Oprócz tego, z mimowiednéj i mimowolnéj swojéj w tym przedmiocie pomyłki, poeta nasz zawczasu się rozgrzeszył, czyniąc w przedmowie do pierwszego (niemieckiego) wy-

dania „Kursu" wyznanie o niezmiernėm ubóstwie „źródeł", na których zmuszony był poprzestawać w swych wykładach. Co do reszty, między całością faryzeuszowsko-lojalnych rodowodów Comte'ów lub Thiers'ów a całością religijnych i patryotycznych męczarni myśli mickiewiczowskiéj, zachodzi taka jedynie spójność, taki jedynie stosunek, jaki my dziś w uczuciach swoich otrzymamy, gdy dziwaczny, przytoczony powyżéj aforyzm Cousina „o demokracyi z panem" postawimy obok jednego choćby tylko promienia duchowéj zacności Mickiewicza, który tak się w jednėm miejscu wyraża: „Najdonioślejsze popędy ludzkości do zgody, do braterstwa łamią się i pękają tam, gdzie dążność do jedności w ludach staje się dla dowódzców tylko pretekstem do rozbojów i ujarzmień" (I, 358).

Słowem, zagadnienie o niezwykłém religijném niejako posłannictwie wielkich ludzi nie budziłoby w wykładach Mickiewicza ani obaw, ani wątpliwości, gdyby się nie wiązało ściśle z jego przepowiednią zagadkową zawartą w przenośni poetyckiéj, „a imię jego czterdzieści i cztery." Trudno zapewne utrzymywać, aby ostatnie to dziecię tułaczych dum Mickiewicza przyszło było na świat w pełni sił i zdrowia; ale tém większy powód do zbadania, w jakim stopniu było ono chorowite. Kwestya wszakże jest tak złożoną a rozległą, że ją wypada poruszyć *ab ovo* na podstawie kilku świadectw wiedzy zdobytéj w ostatnich dopiéro czasach, już po zgonie wieszcza.

VI.

Znanym jest w dziejach fakt powolnego lub stopniowego a niepowstrzymanego jakby fatalistycznego znikania z powierzchni ziemi ludów pierwotnych, czerwono i ciemnoskórych, władców niegdyś i posiadaczów całego, przez plemię białe, czyli aryjsko semickie, zajętego obecnie obszaru świata cywilizowanego. Europa, większa część obu Ameryk, połowa Azyi, wszystkie żyzniejsze wybrzeża Afryki i Oceanii uległy już nieubłaganemu prawu ustępowania autochtonów przed nacierającymi na nich Aryami i Semitami. Masy tych „pierwotniaków", gromadnie się opiérających jeszcze gdzieniegdzie ryczałtowemu wydziedziczeniu (w Chinach np.), są tak stosunkowo słabe i upośledzone, zarówno fizycznie jak i moralnie, że zdaniem jednego z najznakomitszych nowoczesnych statystów, Bluntschlego („*Allgemeines Staatsrecht*, t. I, str. 70), doby etnograficznego ich istnienia są policzone. Przyczyna zjawiska tłómaczona bywa rozmaicie, wedle specyalności

badaczów; najpospoliciéj jednak używany termin: „fizyologiczna niższość” człowieka przedhistorycznego (czyli monosylabicznego, jak go nazywają lingwiści od języka głównych żyjących przedstawicieli szczepu, Chińczyków), nie da się utrzymać w świetle wiedzy tegoczesnéj. Antropologia porównawcza jest w téj materyi bezsilna. Czaszka mongoła lub czaszka wykopana z jaskini troglodyckiéj nic nie powié w zestawieniu z czaszką Newtona, tak samo jak niceby nie powiedziały o sobie nogi konia, który trzy tysiące lat stał w stajni, przymierzone do nóg folbluta, który w ciągu tego okresu ścigał się i pracował. Typy porównywane są tu niewspółmierne, bo nie jednocześne, nie jednookresowe. Ażeby módz coś orzec o wyższości kraniologicznéj, czy téż zgoła etnicznéj Aryów i Semitów nad pierwotniakami, należałoby trzy te grupy obejrzéć i zbadać przy mecie dziejowego rozejścia się ludów, przed wyjściem ich na widownię wyścigów. Dla starożytników zagadnienie to nie byłoby może trudne do rozwiązania. Dość-by może było ich spytać, czy mózg, który wydał naukę Konfucyusza (wraz z przeciętnym mózgiem jego wyznawców, monosylabistów) był lub nie był w czémkolwiek mniéj potężny od mózgów, którym Semici zawdzięczają swą Biblię, Aryowie zaś kanoniczne księgi Rig-Wedy. Max-Müller, Pictet, Benfey, Renan z rzadką w takich kwestyach zgodnością odpowiedzieli już nawet na to, że żadnéj umysłowéj niższości w danym zakresie niepodobna odkryć i zaznaczyć u pierwotniaków azyatyckich, — pomimo że dziś dali się oni znacznie wyprzedzić na drodze rozwoju ludom szczepów aryjskiego i semickiego. Renan utrzymuje np., że uzdolnieniem do rękodzieł i sztuk zastosowawczych, przedsiębierczością pozytywną *(esprit positif)*, zamiłowaniem i zręcznością w handlu, przemyśle, rzemiosłach, rolnictwie i w ogólności w staraniach o wygody i dobrobyt materyalny pierwotniacy wybitnie zawsze górowali i górują nad Aryami i Semitami. Czémże się więc stało, że kiedy wyznawcy Biblii (semici izraelscy) i wielbiciele hymnów wedyjskich (praszczurowie nasi aryjscy) szybkim krokiem podążali naprzód, ku przyszłości, oświacie i swobodzie, to uczniowie Konfucyusza i Lao-tze, przytuleni lękliwie do odwiecznych swych siedzib, pozostali przy przedhistorycznym poziomie umysłowym i społecznym? Jedynie możliwe tłómaczenie różnicy w trybach działalności historycznéj, wobec jednakowego napięcia pierwotnéj siły intelektualnéj, zasadza się na różnicy ducha ksiąg, pod których wpływem trzy te odłamy rodu ludzkiego istotę swą, jaźń swą wypielęgnowały. Zamknięci w obrębie zagadnień czysto ziemskich, tutejszoświatowych, konkretnych, niby w gmachu wielkim bez okien i otworów ku niebiosom zaświatowości dalekiéj, ponętnéj, dokądby myśl, podniecana zagadką dziwów

niezaznanych, pociągała pragnienie i wolę do oswojenia się z niemi (a właśnie obie starożytne religie chińskie tak a nie inaczéj są zamknięte, zamurowane od strony problematów zaziemskich), — ludzie szczepu wegetującego obecnie na obszarach stosunkowo jeszcze rozległych, raz na zawsze skazani zostali na ruch dośrodkowy w sobie skupiony, wyłącznie własny i swojski, to jest na ruch dokoła siebie samych, dokoła swych zagród, domostw, stodół, pagód i cmentarzy, — i to od rana do wieczora, od stulecia do stulecia, od dynastyi do dynastyi. Jaka była dusza zamknięta w księgach religijnych, taki téż był i czyn na drogach pochodu dziejowego. Nic to nie znaczy, że myśl, wola, żądza, wypływająca z wiary, nie stanowi jeszcze sama przez się działania, nie jest ruchem i że myśl a ruch są światami nieprzeobrażalnemi równoważnie a zasadniczo jeden na drugi, niemożliwemi do ilościowego z sobą porównania i do jakościowego wyprowadzenia jednego z drugiego; dość pewności faktycznéj, sprawdzalnéj, że między ruchem a myślą zachodzą związki stałe i w pewnych razach nieodzowne, niezmiernéj psychologicznéj wagi i doniosłości.

We wszelkich zbiorowych dziełach i przedsięwzięciach ludzkich, od przedhistorycznego ich zarania, poczucie, pomysł, idea stanowi zarodkowe ziarno, pierwszą pobudkę, początkującą dźwignię postępowania i działalności, — pobudkę i dźwignię tém silniejszą i trwalszą w przebiegu zdarzeń dalszych pomniejszych, im głębiéj ona zastrzęgła w glinie najpierwszych duchowych pasowań się człowieka z otoczeniem. Z tego to drugiego powodu poszło, że jakie koło i jaki kierunek zakréśliła pierwotniakom (Chińczykom np.) myśl proroka, bohatéra, prawodawcy, takiemi téż ścieżkami czynu podążać zaczęli wyznawcy jego słowa. Ciasnym i wąskim był widnokrąg genezyjnego przykązania, — ciasną téż wąską i poziomą stała się wędrówka życia. Odmiennie stało się u Aryów i Semitów. Inny drogowskaz umysłowy na inne téż gościńce dziejów ich wyprowadził. Natchnione ich księgi, zwiastujące rzeczy niebywałe, niewidzialne, krainy nieskończone, niedostępne, wypadki nieprzeniknione, niespożyte, stały się owém parciem źródłowém, które pragnienia i zamiary wiernych pchnęły w strony wiekuistego czerpania i wyczerpywania zagadek wiekuistych dłońmi urzeczywistnień doczesnych; kanoniczne te księgi były ową ręką dobroczynną, „bratnią a potężną" — jak się wyraża Mickiewicz, — która raz na dziesiątki tysięcy lat nakręciła misterny zégar życia i przeznaczeń pradziadów naszych. O ile bowiem w przedmiocie koniecznego tego skojarzenia myśli z ruchem, idei z czynem i naodwrót powiedziéć można z Horwitzem, że pierwszy brzask działalności, napół świadoméj, napół bezwiednéj objawiający się w jestestwach organicznych w ogól-

ności, rozpoczął się od pytającego drgnięcia: co tu począć? — „*was fang ich an?*" („*Psycholog. Analysen*", cz. II, str. 82) — o tyleż słusznie da się wywnioskować, że pierwszy świadomy czyn zbiorowy, społeczny, wysnuł się z duszy ludzkiéj w formie zagadnienia: „co o tém sądzić? jak z tém sobie radzić?" Stosunek podmiotu (subiektywności) do obiektywności (przedmiotu), jako sprężyny czynnéj do machiny wykonawczéj, stanowi w zakresie zasadniczych wyobrażeń o powstawaniu związków społecznych postulat, bez którego i po za którym ciemność byłaby nieprzeniknioną, wszechwładną. Pewnik to niezaprzeczony, — przynajmniéj w początkujących dziejach Aryów i Semitów, że z genezyjnego parcia doświadczeń raz zdobytych, uświadomionych w krainę bytów niezbadanych, niepoznanych, boskich rozwinął się cały proces postępowego ich pochodu na widowni dziejów. Treść i wartość nieśmiertelnie zaciekawiającéj owéj kądzieli, z któréj pokolenia brały i biorą doczesną swą przędzę, są w zagadnieniu niemal obojętne; chodzi głównie o to tylko, aby podnieta jaknajgłębiéj osadzoną była w sercach i trwać mogła jak najdłużéj. Im więcéj w duszach spoczęło pytań nie rozwiązanych na razie, czyli mistycznych, tém większy przez to stworzył się na przyszłość zasób popędów do realnego ich dochodzenia, badania i roztrząsania. Osnowy rzeczywistéj, faktycznego dla pracy materyału dostarcza tu samo otoczenie, sama przyroda, wśród któréj zbiorowość prowadzona jest za rękę przeczuciem lub wiarą, że nieznane dziwo „zaświata" — Sfinks, zewnątrz nas zaczajony, da się odkryć, obejść, ująć, przejednać lub nareszcie — skoro się pokaże być wrogiem nieprzejednanym, — że się da zniszczyć. I w tém to znaczeniu trafnie powiada filozof amerykański, Wiliam James: „Wiara stwarza własny swój sprawdzian. Wierzycie, że posiędziecie najwyższe dobro, które was ocali? — wybornie, nie pomylicie się wcale, gdyż najprawdopodobniéj ocaleni będziecie, choćbyście najwyższego dobra nie osiągnęli. Nie wierzycie?—to i w takim jeszcze razie trafną będzie wasza niewiara, — bo istotnie zginiecie. Różnica cała polega na tém, że korzystniéj jest dla nas wierzyć w ocalenie, niżli nie wierzyć" („*Crit. philos.*", 1882, Nr. 36).

W oświetleniu tych uwag uwydatni się, być może, obecnie nieco dokładniéj problematyczna mickiewiczowska doktryna „posłannictw".

Skłonność do mistycyzmu, do upatrywania pewnéj siły, władzy, czy téż tylko możliwości nadzwyczajnéj, ukrytéj po za zasłoną praw i zjawisk zwyczajnych i niemi stale lub w szczególnych wypadkach kierującéj, ujawnia się w mniejszym lub większym stopniu w całéj umysłowéj działalności Mickiewicza. Jest to jakby rys pierwotny jego

ustroju duchowego. W kursie literatury słowiańskiéj spotykamy rys ten zaraz na wstępie, w pierwszéj lekcyi, w niczém zresztą jeszcze nie zapowiadającéj późniejszego rozkwitu doktryny, — a mianowicie w oświadczeniu, że „naród polski przeznaczonym jest stać się Kopernikiem świata moralnego" (I, 13), w tém znaczeniu, jakoby społeczność nasza przechowywać w sobie miała pewną energię życiową o takich własnościach etycznych, że z niéj trysnąć może dla świata potok świéżych, zgodniejszych z potrzebami czasu norm i modeł pożycia towarzyskiego. W ciągu całego pierwszego roku szkolnego zapowiedź ta leży bez żadnego znaku życia; profesor zajęty jest zupełnie czém innèm. Dopiéro z początkiem drugiego roku szkolnego, t. j. w grudniu 1841 r., wiotka płonka idei mesyanicznéj zaczyna okrywać się kwieciem wiedzy wyraźniéj nieco uporządkowanéj i rozwiéwać dokoła siebie złote pyłki wieszczby dogmatycznéj. Tu dopiéro się dowiadujemy, że szczep słowiański ożywia w téj chwili oczekiwanie nowéj myśli ogólnéj (*d'une idée generale, d'une idée nouvelle),* która zarazem będzie myślą wspólnie wiążącą wszystkie ludy (II, 309); tu zaznaczone niezwykłe dostojeństwo słowa u Słowian, którzy ducha swego jeszcze nie roztrwonili i nie nadużytéj swéj mowie przyznają moc pierwotną (312); tu wytknięty cel usiłowań głosicieli „słowa" ucieleśniającego ideę: „służyć prawdzie, pracować dla prawdy, posługiwać się prawdą jako jedynym puklerzem przeciwko fałszowi, złości i błędom" (313); tu nareszcie znajdujemy wyznanie, że wykład literatury słowiańskiéj ma przed sobą założenie i widoki dalsze, że jest tylko wstępem i przygotowaniem do umiejętności wyższéj, ostatecznéj: „do filozofii rodziméj słowiańskiéj" (319).

Jednakże wyobrażenia Mickiewicza nie splatają się jeszcze dotąd z łatwością i swobodą. Wisi nad niemi pewnego rodzaju mgła lub zaćmienie logiczne, spowodowane jakby żywszém, oddech tamującém wzruszeniem, może bolesném, może radosném — i trwa to aż do lekcyi z d. 28 grudnia 1841 r., czyli czterdziestéj i czwartéj z rzędu od dnia rozpoczęcia kursu,—zaznaczmy to mimochodem, bez przywiązywania zbyt wielkiéj wagi do kabalistycznego znaczenia téj cyfry. Lekcya ta wraz z trzema bezpośrednio po niéj następującemi (do d. 11 stycznia 1842 r. włącznie) składają się na zarodkową pestkę całego systemu i zajmują w II tomie kursów stronic 67 (od 332 — 399). Bacznymi i oględnymi być tu musimy na najdrobniejszą okoliczność, o ile że jest to z początku jakby ważenie się z sobą w mgławicach abstrakcyi dwóch pierwiastków spornych, wydać z siebie mających syntezę pożądaną, — syntezę, według założenia profesora konkretną a przecież absolutną, gdyż umiejscowioną co do swego pochodzenia, a przecież powszechną

pod względem doniosłości swych skutków i zastosowań. Pierwiastkami temi: prawa ogółu i prawa jednostki. I ten to proces embryologiczny wyłania z siebie jedno, stałe i wielkie „prawo moralne”... Jakaż jest tego prawa formuła?

Zanim przystąpimy do odpowiedzi na to pytanie słowami samego profesora, streszczonemi o ile możności najzwięźlėj, — uczynić musimy jeszcze jedno zastrzeżenie. W wywodach najściślėj nawet naukowych przewodnia nić rozumowania nie pęka, nie zrywa się jeszcze przez to, że ją obciąża materyał dowodowy zbyt suty, przesadzony, źle ugrupowany, lub przestarzały. Już dziś nie dowodzimy obrotu ziemi dokoła słońca metodami Kopernika, choć jego system planetarny uważamy za niemylnie i nieodwołalnie prawdziwy i ustalony. Mickiewicz przed pięćdziesięciu z górą laty nie mógł być równie, jak my dziś, zasobnym w erudycyę pomocniczą: lingwistyczną, archeologiczną, filozoficzną i t. p. Wiadomościom jego historycznym, przesnutym legendami możnaby poczynić zarzuty dość ważne, ale to byłaby czcza szykana tam wszędzie, gdzie profesor powołując się na fakta — podziśdzień jako takie niezaprzeczone — daje im oświetlenie, któregobyśmy obecnie użyć nie chcieli. Weźmy przykład. Poeta, stając w obronie praw jednostki i posuwając zasadę indywidualizmu do ostatnich, krańcowych jėj wyników, dość mętnie i niepewnie wyraża się o takiém zboczeniu i zbrodniczém nadużyciu swobody osobistėj, jak to, które podanie okryło bezsławném imieniem Sicińskiego. Czy ów argument *per nefas* ma świadczyć przeciwko tematowi głównemu? czy ma uwłaczać słuszności i prawdzie naczelnego założenia? — Ależ chyba w ten jedyny sposób, w jaki królestwu Bożemu i szczęśliwości wiecznėj uwłacza ten, co dla ich przyśpieszenia — wiesza się lub topi. Żadna rafa niemeńska nie zdoła przecież zaprzeczyć istnieniu Niemna, ani szybkości wód jego biegu.

VII.

Rozbiérając pamiętniki Paska, Mickiewicz trafia na ustęp, gdzie mowa o elekcyi króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Prymas, senatorowie, dygnitarze, możnowładcy, przywódcy stronnictw wcześnie już poczynili starania w celu przeprowadzenia własnych kandydatów. Tymczasem, zbiéra się olbrzymie koło wyborcze z dwukroć, z trzykroć może tysięcy głów; sam jeden tylko książę Bogusław Radziwiłł ciągnie za sobą ośm tysięcy popleczników. Pretendentów bez liku. Rozpoczynają się korowody narad, namów, intryg, przekupstw i obiet-

nic postronnych, składających się na olbrzymią panoramę takich samych w gruncie rzeczy oszustw i podłości, jakie dziś, na skalę lilipucią, tak często oglądamy w niektórych parlamentach zachodnich. Nagle, wśród tego chaosu ktoś w tłumie krzyknie: „Niech żyje król!...” Zdumienie i zamęt: „Gdzie? który?” — „Niech żyje Piast, król Michał”, — podjęły głosy. O tym Piaście nikt przedtém ani pomyślał: zubożony klęskami wojny kozackiéj ród Wiśniowieckich zeszedł był prawie do nędzy... W mgnieniu oka wybucha entuzyazm nieokréślony, nieopisany i niesiony na skrzydłach gorączkowéj jakiéjś, nienaturalnéj, rzecby można, egzaltacyi,—ogarnia rzesze, wzmaga się, rośnie; łamią się wśród ogólnego uniesienia i topnieją lody pojedyńczych niechęci, wola jednostek zcala się w nieprzeparty prąd woli ogólnéj, i najskromniejszy, najmniéj głośny pretendent, skutkiem obudzonéj tradycyi klęsk i zasług jego przodków, jednogłośnie, jednomyślnie okrzyknięty królem przez cały ten rój „szerszniów kęśliwych”, wotujących teraz jak „jeden mąż”... „o trzech obliczach” narodowych i o czterdziestu czterech barwach chorągwi litewskich, ruskich i czeskich [1]), zgromadzonych niegdyś przez Jagiełłę pod Grunwaldem dokoła tyluż chorągwi polskich,—razem z czterdziestu czterech ziem i województw z okresu najszerszego rozrostu granic Rzeczypospolitéj przed r. 1648... Cóż się to stało? Oto prawo społeczne wzięło górę i pochłonęło prawa indywidualne w sposób zupełnie wyjątkowy, jedyny w dziejach: nie niwecząc tych ostatnich, nie naruszając ich nawet, nie zdejmując z nich prerogatyw wolności. Odwieczne cnoty domowe, do których, wedle Mickiewicza, należą przedewszystkiém „prostota, skromność i zapał” trysnęły wieńcem opatrznościowym i cały naród, w téj aureoli, stał się doraźnie prorokiem, kapłanem, mędrcem, — słowem: posłannikiem. Ma się rozumiéć, z dzisiejszego naszego punktu zapatrywania się na dzieje owoczesne, owo poczucie się narodu nie było zbyt fortunném, jeżeli się zważy na przebieg i rezultaty krótkiego zresztą panowania Michała. Ale Mickiewiczowi szło wyłącznie o podniesienie i uświęcenie przez dobrowolność téj pierwotnéj, starodawnéj wspólnoty słowiańskiéj, w któréj—jak to już i za jego czasów wiedziano—przymus tak smutną rolę odgrywał. Jednomyślność dobrowolna, nieprzymuszona—jest też u naszego profesora jedyną formą objawu wszechwładztwa ludowego (czyli tak zwanego dziś na Zachodzie głosowania powszechnego), którą wieszcz nasz uznaje za legalną. Każde inne kréskowanie, każda inna uchwała, fundamentalnych ustaw kraju dotycząca, choćby

[1]) Tak sobie następnie obliczali te chorągwie Towiańczycy na wychodztwie, chcąc zużytkować ogromny kapitał wpływu i znaczenia słów Mickiewicza.

się opiérała na większości tak przeważnéj, jak cały ogół — bez jednego tylko głosu — jest, zdaniem poety, wadliwa i nieprawa, gdyż kto zdoła odgadnąć, czy pozbawienie praw wszechwładztwa jednego tylko obywatela nie wystawi narodu całego na zgubę, czy nie wykluczy ze społeczeństwa takiego oponenta, takiego samotnego zbawcy i posłannika, jakim np. był niegdyś Kordecki.

Zarzucano Mickiewiczowi bądź na podstawie jego utworów poetyckich, bądź na mocy luźnych zdań jego kursu, że z przymiotu odświętnego i rzadkiego, jakim jest natchnienie, zapał, czyni regułę powszechną i powszednią, tworzy z niéj przepis na codzień, ukućby może z niéj pragnął naprędce jakąś ustawę organiczną *ad usum* wychodźczego pokolenia... obradującego — co prawda—tak samo, jak i dawne wiece nasze, najczęściéj pod gołém niebem, na brukach stolic europejskich. Ale niestosowność tego wykładu bije w oczy; rozsądek światłego człowieka nigdy tak niedorzecznego komentarza nad prelekcyami Mickiewicza nie dopuści. Pewnik poety jest pewnikiem idealnym, do którego raz jeszcze stosuje się powiedzenie wieszcza: „przesądzać przyszłości przeszłość nie może". Jednozgodność bezwzględna, niczém nie skrępowana należy w dziedzinie przedsięwzięć i prac zbiorowych do takich samych pożądań oderwanych a niezbędnych, jak prośba w modlitwie Pańskiéj o przyjście Królestwa Bożego na ziemi. Absolutów takich nigdy z oczu tracić nie wolno; bez normy, o któréj mowa w danym wypadku, każde nasze wyobrażenie społeczne byłoby bez światła i bez horyzontu, jako anarchiczne w założeniach, rozprzęgające w dążnościach, a marnotrawne w wykonaniu i następstwach.

Wręcz natomiast inaczéj przedstawia się sprawa wobec pytania, które na pierwszy rzut oka zdaje się być zarzutem o wiele głębszym,— a mianowicie wobec pytania: co myśléć i co czynić, ilekroć społeczność tracić zaczyna i straci nareszcie ową mickiewiczowską zdolność posłanniczą?... Wszak nie zbywało wcale, jak wszyscy wiemy, narodowi naszemu na opłakanych dobach podobnego zatracenia samowiedzy ogólnéj; mieliśmy ich owszem tyle, iż cała nasza historya przedstawia się niekiedy jako jeden łańcuch nieprzerwanych zaćmień. Oto z nich jeden, któremu Mickiewicz poświęcił drugą z czterech swych głównych, wymienionych przed chwilą improwizacyi w Collége de France. Oczywiście, że i tym także razem poeta używa olśniewających metafor stylowych. Szwed i Siedmiogrodzianin zaleli kraj cały. Społeczność, — a przynajmniéj część jéj znaczna, — ogłuszona, oślepiona, uległa, straciła wszystko, zwątpiła o wszystkiém, uznała się być niczém. Nadto, z punktu niektórych dzisiejszych zachodnich systemów legalizacyjnych, opartych na wyroku przypadkowéj i fikcyjnéj nieraz

większości, lub nawet na gwałcie mniejszości, który powodzenie uwieńczyło, — społeczność ta zgon swój moralny — formalnie zaaktykowała. Misya narodu, — nieśmiertelny — jak chce Mickiewicz, dar Ducha Świętego, w strzępy podarta, czyliż się w kłamstwo obróci? — Nie. Zejdzie na jednostki. Jednostka stanie się teraz wszechwładną. Ona jest mężem opatrznościowym, ona posłannikiem i prorokiem. I rzeczywiście, — powiada profesor—zjawia się oto mnich częstochowski, rokoszanin względem rzekomych uchwał i postanowień narodu, względem zatraconych instynktów samozachowawczości zgnębionego społeczeństwa, co przed skandynawskim przybłędą na oścież spustoszony kraj rozwarło. Mnich ten, oponent, gwałciciel ułomnéj i ułamkowéj woli swojego ogółu, „ożywiony głębokiém o swéj narodowości przeświadczeniem, polegającém całkowicie na moralném uczuciu obowiązku" (II, 365), powiedział sobie: cokolwiekby się stać miało, obowiązkowi swemu pozostanę wierny... I na swojém postawił: zwyciężył. Był że posłannikiem Opatrzności? — Bardzo być może. Wpierw jednak, zanim z wnioskiem w téj mierze wystąpić ktokolwiek się odważy na własną rękę, — nam mocno podkréślić wypada to, co pod postacią antytezy i dopełnienia ulotnie i jakby niechętnie napomyka trzecia prelekcya Mickiewicza (7 stycznia 1842 r.) o Sicińskim. Siciński — on również zwyciężył. I przed nim także, przed jego protestem naród, w osobach swych przedstawicieli, cofnął się i rozproszył, — „zdumiony, przerażeniem zdjęty"... Czy i w jego protestującéj, a dziś wzgardzonéj i przeklętéj duszy świécił drobny jakiś promyk posłanniczy?... Nic o tém wedle Mickiewicza nie wiemy. „Żeby mnie sądzić, nie ze mną być trzeba, lecz we mnie." Popiołów Sicińskiego— jak utrzymuje legenda — ziemia przyjąć nie chciała; ale społeczność polska nie ma prawa wypierać się go i odpychać od swego łona, bo Siciński — to nietylko kość jéj kości, lecz nieodłączna, chociaż prawdopodobnie najbardziéj skażona cząstka słonecznéj tarczy jéj ducha— do głębi przesiąkniętego wygórowaném poczuciem osobowości, indywidualizmu. I dlatego to wieszcz nasz, konsekwentny i nieprzebłagany w tym razie apostół bezwzględnéj, do świętości podniesionéj zasady praw osobistych, chłodno zaznaczywszy przygodę z posłem Upickim, okrytą przez wieść gminną wiekuistym kirem niesławy, spokojnie w swych prelekcyach przechodzi nad Sicińskim do porządku dziennego, ogłaszając tylko te zadziwiające słowa: „Do społeczeństwa należymy nie przez to, że nasi ojcowie do niego należeli, lub że zapisani jesteśmy na jego liście poborowéj, lecz dlatego, że je wybieramy jako najlepsze, najzacniejsze, najsprawiedliwsze. Jednostka nigdy nie zrzeka się w niém swych praw, — nietylko do opuszczenia jego szeregów, ale też

i do powstrzymania go w pochodzie, jeśli spostrzega, jeśli się jéj z d a-j e, że wchodzi ono na rozdroża, że powołania swego nie pełni." Tu również — jak to każdy łatwo spostrzeże — twierdzenie teoretyczne wysunięte zostało na czoło wywodu indukcyjnego — jedynie jako zorza przyszłości dalekiéj, jako latarnia wśród ciemnéj nocy stosunków doby współczesnéj, jako przewodnia gwiazda téj oczekiwanéj i upragnionéj d o s k o n a ł o ś c i, która — przypuszczać wolno — z najwidoczniejszych nawet swych zboczeń skorzystać kiedyś potrafi... Zapiszmy także przy sposobności, że wygórowane wyobrażenie Mickiewicza i godności osobnika dopiéro dzisiaj przychodzi do uznania w nauce. Po licznych hypotezach, przenoszących środek ciężkości społecznéj z jednostki na rozmaite grupy, ciała i całostki zbiorowe (jak Herb. Spencer np.), wracamy nareszcie znowu, lecz już bez możliwéj chyba recydywy, do praw osobistych, jako do węgielnego kamienia wszelkiéj budowy socyologicznéj. Ale tu właśnie spotykamy szkopuł najtwardszy. Skoro tak jest w istocie, skoro w równym stopniu uprawnioném ma być k a ż d e zwycięstwo jednostki nad społeczeństwem, zostającém w stanie przechodniego, tymczasowego rozbicia moralnego, to zachodzi pytanie: kto lub co będzie rozjemcą i sędzią między zbawcą Kordeckim a zdrajcą Sicińskim? Oczywiście, że jedynie społeczność, powracająca do zdrowia ze stanu upadku i niemocy duchowéj. Innego, „bezwzględniejszego" — to jest nieomylnego „prawa moralnego" nie ma. Żaden inny „znak" boski czy ludzki, na ziemi czy niebie, nie dopomógłby odróżnić w gwarze i tłumie „oponentów" wszelkiego miana męża opatrznościowego od przeniewiercy, męczennika za prawdę od obłąkanego przywidzeniem warchoła, pokornego naśladowcy dróg Chrystusowych od chytrego wyznawcy worka judaszowego. Wynika to poniekąd z czwartéj i ostatniéj (w obranym zakresie) prelekcyi Mickiewicza (11 stycznia).

Dziwny to nad wyraz odczyt. Bez żadnego napozór związku z poprzedniemi, bez żadnych ozdób mitologicznych, trzeźwy, surowy, literacki, przenosi się on na grunt krajów postronnych. Wspomina o geniuszu Fryderyka Wielkiego, Napoleona I-go, Piotra Wielkiego i ze szczególném upodobaniem zastanawia się nad czynami tego ostatniego. Niezwykłe to, zaprawdę, zjawisko! Postać jak ze śpiżu lub ze skały, wola niezłomna, nieprzeparta, żywiołowa — jak ogień lub woda. W którąkolwiek skinie stronę, wraz za jego gestem naród cały się pochyla i podąża. Zapragnie-li wyrąbać okno na Bałtyk? zechce-li zrobić wyłom ku morzu Czarnemu? — dość mu powiedziéć „stań się" — i już się słowo ciałem stało... Jestże to nareszcie ostatni, najwyższy z poszukiwanych typów „człowieka opatrznościowego?" jestże to nare-

szcie najdoskonalszy okaz mistycznego „czterdzieści i cztery"? — Zapewne... — w obrębie własnego jego środowiska, i odpowiednio do duchowego nastroju, do moralnego „tonu" danego społeczeństwa, czyli po naszemu, w języku pospolitym, odpowiednio do wysokości danego przez otoczenie poziomu cywilizacyjnego i wewnętrznéj, istotnéj wartości materyału narodowego, z którym taki posłannik ma do czynienia... Na nieszczęście, — tu, w tym właśnie punkcie znajdujemy znaczną lukę w proroctwach Mickiewicza. Jasnowidzenie zawiodło, rzecby można, na tém miejscu mistrza, głównie — jak mniemamy — z powodu wspomnianego poprzednio przeliczenia się z rzeczywistą wagą tak zwanéj „świętości" idei i potęgi napoleońskiéj. W samém założeniu wykładów w Collège de France — jak widzieliśmy — tkwił warunek nieodzowny, ograniczający teren realizacyi zapowiedzianéj, że poszukiwana dla posłannictwa gleba społeczna ma być téj natury i zdolności, ażeby jéj pierwiastki etyczne stać się mogły światłem centralném, kopernikowskiém, całéj ludzkości przyświecającém. Światła zaś takie, zdaniem Mickiewicza, nie powstają bez walk i usiłowań, bez pracy wielkiéj, wszechstronnéj, popychającéj bryłę świata na nowe, nieznane dotąd, a przecież dla wszystkich dobroczynne tory. A tymczasem, zestawiając Piotra Wielkiego z Napoleonem, grunt rosyjski z gruntem francuskim, wydało się Mickiewiczowi, że „ton" francuski wyższym jest od tonu rosyjskiego. W takim razie staje się oczywistém, że ująć, owładnąć, zapanować nad pierwszym i zostać tym sposobem rzetelnym posłannikiem na całą ludzkość nie jest bynajmniéj to samo, co zapanować nad drugim (III, 361). Zagrać na skrzypcach wszechświata, a zadąć w fujarkę pasterską — to nie jedno. Wszelka łatwość zadania sprzeczną jest z samą podstawą mesyanizmu. W warunkach nieskończenie nawet trudniejszych od francuskich za dni Napoleona I — nie dość być ludem ludów, nie dość mieć trzy oblicza i czterdzieści cztery, lub nawet siedmset siedmdziesiąt siedm znaczków chorągwianych; trzeba jeszcze być „trudem trudów". Szybkie poloty żądz i zamiarów, oskrzydlonych jedynie puchami fantazyi, nie prowadzą ostatecznie nigdzie do niczego. Praktyka, zastosowanie, rzeczywistość twarda — oto z czém walczyć i pracować ma posłannik. Mickiewicz stanowczo twierdzi, że kryteryum najwyższéj nawet umiejętności — filozofii, polega na zastosowaniu: „wszelka nauka istnieje jedynie pod warunkiem, że jéj twierdzenia sprawdzają się stanowczo" (II, 73)... I skromny, niepoczesny, prosty ten wyraz jest rozwiązaniem kwestyi,— ostatniém słowem mądrości mesyanicznéj, zamknięciem wykładów wieszcza; — jest to ich amen.

Słówko tylko jeszcze — na zawieszenie tego przedmiotu — od wielbiącego komentatora doktryny litewskiego wieszcza. Czy zasoby moralne i poziom umysłowy społeczności naszéj mogłyby być téj natury i tego przeznaczenia, iżbyśmy rościć mieli prawo do roli, jaka tak widocznie usunęła się z pod stóp Francyi zrestaurowanéj po napoleońsku w początkach naszego stulecia? Wychowańcy drugiéj połowy tego wieku, uczniowie Herderów, Gerwinusów, Buckle'ów dzieci narodu, którego zabobonność, niezaradność, rozrzutność, skłonność do uniesień szybkich i szybszych jeszcze rozczarowań znamy jak własne serce, zniewoleni jesteśmy, wobec powyższego zagadnienia, wstrzymać się od jakiéjkolwiek afirmatywy... Ale Mickiewicz — on od nas wszystkich był przenikliwszy i co najmniéj o całe Ponary, wyższym. O tyle też głębiéj rozumiał i kochał swą społeczność. Kochał ją bez granic, bez zastrzeżeń, do ostatniego tchnienia, które wyzionął w ciemnym zakątku stambulskim. Kochał, przeto wierzył. Wierzył, że ta ziemia z każdą wiosną rodzić będzie coraz bujniejsze i piękniejsze po miedzach grusze i jabłonie; że nasze wioski, wyprzęgnięte z jarzma, swoboda obmuruje cegłą oględności, pokryje miedzią dostatku, pomaluje złotem oświaty; że z naszych grodów, pod jękami pieśni Jankielowych, zlezie w końcu brudna pleśń przedwiekowego zastoju żydowskiego, wyróżnienia i nieufności; że nasi ziemianie, przestawszy polować na grubego zwierza, gorliwiéj przynajmniéj hodować zaczną swój drobiazg nieletni i baczniéj strzedz do połowy zwężonych swych zagonów; że nasi „ludzie nauki" przynajmniéj na starość czegoś się nauczą i coś zapomną; że nasi dziennikarze, wśród zajęć chlebowych na kopiejki, znajdą też niekiedy i chwilkę wolną na rozmyślania nad zwiastowaną przed półwiekiem „filozofią rodzimą"... Wierzył w to Mickiewicz — statecznie głęboko, do obłędu wierzył... Jakżeż więc nie miał uwierzyć i w to także, że gdzie Opatrzność dała glinę doskonalącą się, tam też ona ulepi z niéj — być może — i kiedyś i człowieka lepszego, pracowitszego, roztropniejszego, — zgoła opatrzniejszego, jeżeli już nie opatrznościowego...

VIII.

Wpleceni w koło nowych stosunków towarzyskich, przebudzeni ze snów, tak gorączkowo nęcących niegdyś do niezapracowanych plonów, do sławy i nagrody bez zasługi, spostrzegliśmy dziś z wrażliwością gwałtownego wytrzeźwienia, że posiadamy za wiele na naszym gruncie zarówno poetyckich wieńców, „rękami wieśniaczki usnutych z modrych bławatków i zielonéj ruty", jak i tych „posłanniczych" wycieczek

w krainy przyszłości zaobłocznéj. Na naszéj niwie umysłowéj — powiedzieliśmy sobie, nieskończenie obficiéj porastają róże i fijołki natchnień, mirty i cyprysy dumań filozoficznych nad najwyższemi zagadnieniami człowieka, niźli powszednie ziarna nauki, niźli prozaiczne zboże, które nas chroni od głodu i chłodu. Uprawa cudownych, zawieszonych w powietrzu ogrodów zanadto zagłuszyła orne, zasadnicze gospodarcze warunki wszelkiego bytu. Rzeźki, stanowczy przed dwudziestu kilku laty zwrot kształcącéj się młodzieży ku pozytywnym zadaniom i przedmiotom wiedzy całkiem proste, uzasadnione miał powody; ruch ten, odbijający się dziś we wszystkich odłamach ludności krajowéj, obiecuje w niedalekim zapewne okresie plony zdrowe, które niewątpliwie pójść powinny na przytułek ciału społecznemu... Obawiać się o nadzwyczajne odkarmienie i utuczenie naszego organizmu ów kierunek, nadany pracom, nie upoważniał — i nie upoważnia. Ilekroć chodzi o wynagrodzenie strat poniesionych wskutek idylicznie przeciągniętéj struny zacofania, ani pośpiech, ani gorliwość zbyt wielkiemi być nie mogą. Pomimo to wszakże niedobrzeby się stało, gdybyśmy zapomnieli, że myśl filozoficzna czy poetycka nie jest samém tylko „oderwaniem" — abstrakcyą chłodną, gwiazdą bezdusznie zawieszoną nad naszémi głowami i obojętnie się przyglądającą poziomym zabiegom człowieka. Często owszem bywa ona pierwszém realizacyjném słowem społeczném, które odnajdujemy później w moralnych, naukowych i ekonomicznych usiłowaniach ogółu. Snuć tę myśl z początkowego wątka

Jako jedwabnik nić ze siebie snuje;
Lać ją z wnętrza jak źródło wodę z siebie leje,
Rozpłaszczać jako blachę, gdy się złoto kuje,
Rozsypywać po ziemi, jak się zboże sieje,
A hodować jak matka gdy dziecię piastuje —

czyliż nie takiém jest — czyliż nie takiém było powołanie zchodzącego już dziś z widowni pokolenia pozytywistów, którzy tak gorąco imać się zalecali młota, kielni i ciężkiego pługa nauk ścisłych?

Mija podobno i to... Dziś dla epigonów pozytywizmu, dla kilku rzadkich lecz po dawnemu surowych propagatorów natychmiastowo-dodatniéj wiedzy społecznéj szereg pytań i wątpliwości, któreśmy przed chwilą poruszyli, odmienniéj nieco wypada postawić i na sprawę całą z innego stanowiska spojrzéć,—z tego np. które przed laty obrał nieznany już prawie dzisiejszemu pokoleniu D-r W. Cybulski, profesor uniwersytetu wrocławskiego.

Założywszy sobie wykryć zasadniczą myśl poetyckiéj twórczości Mickiewicza, w szczególności „Dziadów", D-r Cybulski sprowadził za-

gadnienie z utartych dróg retorycznego i estetycznego rozbioru na żyzniejszą glebę dochodzeń psychologicznych i naukowo-społecznych. Otrzymał wiele trafnych wniosków, rzucających barwne smugi światła na posągową postać wieszcza, a co ważniéjsza, ideę główną utworów jego dość trafnie oznaczył. Powiada że „powietrzem, tchnieniem, duszą dzieł mistrza — jest uczucie miłości”. Pierwiastek ten krytyk rozpatrzył we wszystkich częściach „Dziadów”. Miłość Mickiewicza, jak zapewnia, dotarła tu swojego szczytu, wyraziła się we wszystkich swych kolorach i wszystkie swe tajemnice opowiedziała. Zdawałoby się z całego toku opowiadania, że prof. Cybulski nieodzownie znajdzie w rezultacie to, czego tak gorliwie szukał, to jest stanowcze rozwiązanie najważniéjszych ludzkich zagadnień, niezawodne lekarstwo na obecne rany i dolegliwości społeczne, powszechny a rzetelny kamień filozoficzny, jeżeli nie uszczęśliwienia człowieka, to choć polepszenia i ulżenia ziemskiéj jego doli. Sam badacz tak, nie inaczéj, sprawę postawił, jego zaś analiza, rozjątrzywszy kwestyję wygórowaném zestawieniem nauki Mickiewicza z nauką założyciela Chrystyanizmu, rozbiór przedmiotu nader drażliwym uczyniła. Prof. Cybulski pisze: „Miłość w pojęciu poety nie jest tylko uczuciowém ogniwem spójni człowieka z człowiekiem, człowieka z ludzkością, człowieka z Bogiem, lecz zarazem siłą i władzą duchową, a to władzą jedyną, przez którą człowiek, skoro ją należycie wytęży, rozszerzy, rozżarzy, rozpłomieni, podniesie do egzaltacyi,—dojść może bezpośrednio, bez pomocy innych władz duchowych, do pojęcia i zupełnego zrozumienia wszystkich i wszelkich stosunków i objawów widomego i niewidomego, przyrodzonego, ludzkiego i nadludzkiego świata”. Tak Mickiewicz pojmować miał uczucie miłości i takie jéj określenie dał — niejednokrotnie podobno — w Kursie literatury słowiańskiéj. Na wyświetleniu téj tezy polega téż cała racya bytu pracy prof. Cybulskiego. Jakież jest zdziwienie czytelnika, gdy dopiero pod sam koniec wywodu spotyka krótkie a niemal szydercze oświadczenie autora, potępiające mickiewiczowskie owo rozszerzenie zakresu i potęgi uczucia. „Zapał, egzaltacya, zachwycenie — powiada — nie są normalnym stanem ducha ludzkiego i nie mogą być nigdy(?) na stan normalny zamienione; przenosić się i utrzymywać w stanie tym jest to czynić gwałt swéj naturze”.

Dajmy na to, że tak. Ale nad czém właściwie i po co w takim razie męczył się prof. Cybulski? Jego ostatnie słowa obalają zupełnie gmach kunsztownie wzniesionych wywodów poprzednich i zasadniczą myśl Mickiewicza ubierają w szaty nienaturalnego, jaskrawego jakiegoś podniecenia, iskrzącego się jakby fosforycznemi ognikami zapowiada-

jącéj się gorączki nerwowéj. Widzeń wytworzonych w tym nastroju nie tylko niepodobna brać za kierowników i przewodników życiu, lecz same one potrzebują oparcia, opieki, lekarskiéj niemal pomocy. Prof. Cybulski w niczém nie zdołał wyśledzić normalnego objawu uczucia, które miało być u Mickiewicza, jak o tém wieszcz zapewniał, życiodawczym czynnikiem odnowienia tegoczesnych stosunków towarzyskich; przeciwnie, prof. Cybulski dołożył usiłowań, ażeby wykazać, że miłość, jak ją Mickiewicz w „Dziadach" upostaciował, występuje wszędzie naruszona lub spaczona w swéj istocie. W pierwszéj części poematu (noszącéj tytuł drugiéj) wywołane duchy przez to wyłącznie cierpią i pokutują, że w niewłaściwy lub przesadzony sposób pielęgnowały na ziemi uczucie miłości: jeden kochał za wiele, drugi za mało, ten zanadto idealnie, tamten zbyt po ludzku, inny nie kochał wcale. W części drugiéj (tytułowanéj czwartą) wydobyta z chaosu fantastycznych rojeń ludowych, miłość uosabia się w Gustawie, lecz po to tylko, żeby znosić piekielne wśród żyjących katusze i wreszcie skonać w sobie, zwyciężyć samą siebie, przenieść się z gruntu realnie-indywidualnego na grunt abstrakcyi bezosobowéj; odtąd piętrzy się ona, rośnie, wzmaga, aż dopóki w szalonym zapędzie nie wypowie wojny Stwórcy i nie wpadnie w stan zupełnego omdlenia, pozwalającego szatanom o zbuntowanego tego ducha u aniołów stróżów się dopominać. Krytyk utrzymuje, że moralna dążność poematu zasadza się na okazaniu: jako miłość, przyrodzony pierwiastek ducha ludzkiego, nieodłączna towarzyszka życia człowieka, źródło i podstawa wszelkich jego upodobań wznioślejszych, wtedy dopiero i wtedy tylko zapewnia szczęście i zadowolonie, kiedy objawowi jéj żadna zewnętrzna potęga nie staje na zawadzie...— i „Dziady" taką właśnie ideę miały do uwydatnienia. Prof. Cybulski na jedno przecież nie zwrócił uwagi. Pomiędzy stanem miłości cierpiącéj i walczącéj a stanem tego uczucia w apoteozie nieodzownie istnieć muszą stany pośrednie, — to jest szereg odmian uczucia żywego, nie pnącego się ani do mogił rozpaczy werterowskiéj, ani do ubłogosławionych wyżyn wszechświatowego panowania. Zanim miłość porwie się ku obszarom, na których stanie się regulatorem i prawodawcą podstaw i osłon życia, może i powinna wpierw znaleźć gdziekolwiek grunt i przytulisko, tymczasem zapewne skromne, niebłyskotne, zabezpieczone przecież od burz i słot, bądź wzlotu wygórowanego i ryzykownego, bądź upokarzającego upadku i złamania się. Bohaterowie, coby od kolebki do grobu wciąż tylko straszyli swych rodaków upiorowemi groźbami i zgrzytaniem zębów, a w ekstazach niepohamowanego wybujania zapominali o obowiązkach względem wymagań rzeczywistości bieżącéj, kwalifikowaliby się raczéj do domu zdrowia może, niżl-

do panteonu narodowéj wdzięczności i uznania publicznego. Bardzo być może, że „Dziady”, w oderwaniu od innych utworów Mickiewicza, rzeczywiście wydać się komuś mogą czémś w rodzaju poetycznéj, genialnéj patologii ducha ludzkiego, rozmodlonego erotycznie. Miłość rozbija się i rozpada w nich na tysiące różnokolorowych siarczyście tryskających rac, które na posępném tle nocy, na tle obecnych godeł i haseł bytu społecznego oślepiająco drgają i wirują czas jakiś, lecz pękają i nikną niebawem, jak sygnałowe rakiety kongrewskie, zostawiające po sobie zgryźliwy dym, przerażającą ciemność i trwożny niepokój o to, co daléj będzie... Ale „Dziady” — to tylko okruszyna wspaniałéj spuścizny mickiewiczowskiéj. Nie dobrze uczynił krytyk, że olśniwszy widzów ogniotryskiem metafor świetnych, wyjątkowych, niezwykłych, z „Dziadów” wykrojonych, pozostawił ich nagle bez rady i wskazówki, bez przewodnika i busoli na pełném morzu powszedniości wśród wichrów i zawiei szarego żywota. Ma to wszystko taki pozór, jak gdyby Mickiewicz był wyłącznie jednym z tych krnąbnych i hardych apostołów uczucia, którzy po to jedynie roztaczają skrzydła genialności, aby wyniosłszy miłość pod obłoki, rozwiesiwszy tęczowe jéj barwy na firmamencie natchnienia, zdmuchnąć wraz odwieczny ów symbol przymierza człowieka z przyrodą i Bogiem i skroplić go na kilka aforyzmów zjadliwego złorzeczenia, buchającego z roznamiętnionych piersi Konrada. Prof. Cybulski nie wyraża się wprawdzie równie dobitnie, — ale dla tego tylko chyba, że język jego, kwiecisty i soczysty w ogólności, staje się nieraz, w tym swoim przepychu, do niezrozumienia zawiłym. „Jak filozof bez uczucia — pisze np. — które jest jakby krwią narodów i człowieka, będzie tylko martwym i oderwanym myślicielem, tak poeta i człowiek religijny, bez rozumu i wiedzy, byliby tylko sennymi marzycielami na podobieństwo braminów indyjskich.

Przyjdzie czas, kiedy poezya, religija, filozofia będą tylko trzema promieniami jednéj i téj saméj absolutnéj myśli, któréj źródłem jest Bóg, a organem człowiek. Mickiewicz czuł w geniuszu tę jedność, miał czucie i rozum, a przecież wszystko tylko do uczucia odnosił...” I do jakiego uczucia! — Szał mu na imie...

Wszystko to zresztą byłoby może nawet nader trafném, gdyby trafności traf w drodze wpoprzek nie był stanął. A trafem tym jest ta okoliczność właśnie, że w chwili, kiedy przesilony nadmiarem niebotycznego wytrysku duch Konrada smutnie i dymnie kończy dzieje miłości nadziemskiéj,—a przecież obłąkanéj—pomimo to stanowiącéj według prof. Cybulskiego treść i podstawę nauki Mickiewicza, w téj saméj chwili rodzi się nowy bohater, nowy przedstawiciel idei, — ale już

przeobrażonéj; rodzi się czerstwy, rumiany, pulchny — pucołowaty niemal pan Tadeusz... I tego prof. Cybulski nie spostrzegł?.. To dziwne... — chociaż, co prawda, i nasz tu dziw jest już dziś cokolwiek spóźniony...

IX.

„Pan Tadeusz", ostatni i najwspanialszy objaw poetyckiéj twórczości Mickiewicza, wyróżniający się od dawniéjszych, szczególniéj od „Dziadów", tonem, kolorytem, formą i dążnością, jest przecież niezbędném ich uzupełnieniem i wyjaśnieniem. Poprzednia działalność wieszcza znalazła w nim nie tyle może szczyt i uwieńczenie, ile raczéj grunt i podstawę, oparcie i piedestał. W tém znaczeniu jest to rezerwa ducha wysłanego w „Dziadach" na rekonesans przyszłości. Bez Tadeusza postacie Gustawów i Konradów wydaćby się musiały i u prof. Cybulskiego, zarówno jak i u wielu poźniejszych krytyków, istotnie nie inaczéj wyglądają, jako zapalne mary, spłodzone na niebezpiecznych i zwodniczych oparach wyobraźni, pozbawione ciała, krwi, a błąkające się po zenitach i nadyrach westchnień i natchnień bez żadnego oznaczonego celu, bez żadnéj określonéj i ubezpieczonéj „misyi". Istne saturnalie metafizyczne, urągające nieraz zdrowym zmysłom publiczności, okręt wydęty na wszystkie żagle, a bez równoważącego balastu. Pod te niesforne i niecierpliwe miotania się genialnego natchnienia, galopującego w ciemną, za górami, za lasami ukrytą „ziemię obiecaną", poemat sielski podsuwa się jako rzeczywistość kojąca i błoga, jako zagroda cichego, spokojnego bytu, przeznaczona przytulić i pocieszyć złamane, lub upokorzone marzenia. Nikogo odtąd nękać już nie będzie historya rozpłomienionych wypraw Gustawów lub Konradów w krainy dalekiego ideału; wiémy zawczasu, że każda taka wyprawa ma w odwodzie za sobą skarbiec usprawiedliwiającéj, testamentem Robaka zastrzeżonéj pewności, że gdziekolwiek się drodzy ci nasi awanturnicy obrócą, czémkolwiek ich ludzie przyjmą, dokądkolwiek zajdą, znajdą zawsze za powrotem bratnie przyjęcie i cel życia w zacnym, prostym, gościnnym soplicowskim dworku. Owi zbuntowani synowie przyrodzonéj mickiewiczowskiéj tkliwości i słodyczy, iż takim niepomiarkowanym zapałem szukający rozwiązania religijnych, społecznych i naukowych problematów po wszech cmentarzach i kościołach, dlatego tylko tak dumnie i wyzywająco stawią się wobec najstraszliwszych ziemskich i niebieskich potęg, iż mniemają, że siebie samych jedynie wystawiają na gromy bogów i ludzi, że do rzutkich

i niebezpiecznych swych przedsięwzięć nie wolno im powoływać „pospolitego ruszenia" — z ogółu żywiołów rodzimego bytu. Realny świat Tadeusza wciągną oni do swoich kombinacyi chyba dopiéro wtedy, gdy całkiem pomyślne zwiady uwieńczą niespokojną i krewką ich ciekawość.

Mickiewicz był reformatorem bardziéj z przekonania i wyrozumowania, niźli z temperamentu i charakteru; głównymi sprawcami jego niezadowolenia były: otoczenie i wypadki współczesne. Umysł jego skłonny do zagadnień podniosłych, piął się na ich wyżyny nie tyle wrodzoną każdéj genialności mocą, ile raczéj wskutek parcia rozkołysanéj i ruchliwéj atmosfery. Odrzucał on otaczający porządek rzeczy, zwalczał go, bo sam ten porządek łamał się i pękał wtedy na wszystkie strony. Był to okres niedogaszonych pragnień, zniecierpliwionych oczekiwań, połowicznych tryumfów i całkowitych zawodów. Społeczeństwo europejskie tylko co był przeorał wzdłuż i wszerz wielki ów rataj ludów — Napoleon; roślinność młoda szybko i obficie wszędzie poczynała okrywać powierzchnię starego europejskiego świata. Nowe idee, jak potoki rzek w pierwszych chwilach tworzenia, zanurtowały po wszystkich krajach, szumnie i hucznie spadając z wyżyn umysłowych. Gwałtowne projekty naprawy zawrzały w ogniskach towarzyskiego życia. W literaturze, po gładkiém, czystém, marmurem wykładaném dnie, pism Goethego, rozlała się gorąca lawa wybuchów Byrona; w sztukach, po majestatycznych i głębokich tonach Mozarta i Beethowena, rozdarły powietrze ostre, sprzeczności pełne, z harf, dzwonów i trąb złożone dźwięki muzyki Rossiniego, a wtórowały im szalone leśne pogwizdy germańskich improwizacyi Webera. Rzeźba, architektura, walter-skotyzm, wszelka zgoła plastyka i malatura zeszły na drugi plan. Na scenę wystąpiły żywioły walki, rozigrane, rozszalałe, jako pożar wśród burzy. Rozfalowana pierś ludzka parowała od namiętności dzikich, rozpasanych—romantycznych. Najtkliwsze drgnienia serca przybrały wyraz energicznéj, zataczającéj się od przepełnienia żywości. Miary, spokoju, rozwagi, idealności czystéj, wzniosłéj, w klasyczne formy ujętéj, napróżnobyś tu szukał. Całą górną warstwę społeczności zachodniéj zdawała się ogarniać i ogarniała w rzeczy saméj jakaś wulkaniczność rodzajna. Ludzkość chciała jednym niejako tchem doskoczyć do najdalszych, ostatnich granic swego przeznaczenia. Pragnęła i oczekiwała cudowności, ale realnéj; wierzyła w tę cudowność, ale wierzyła istynktami i zmysłami; modliła się o Królestwo Boże, ale niezbędnie na ziemi. Niepokoiła ją najdrobniejsza przeszkoda, drażniło każde opóźnienie, naglił każdy krok już zrobiony. W takie zarzewie, rozdmuchane z popiołów wielkiéj rewolucyi z końca wieku

XVIII, wpadł mglisto-proroczy, głęboko-mistyczny duch Mickiewicza. Co pod parciem suto otlenionego powietrza wieszcz nasz wydobył ze swéj piersi, musiało nosić na sobie podwójną cechę warcholstwa kosmopolitycznego i poruszonych wstrząśniętych strun własnego przypomnienia, własnego bólu... Stan powszechnego naprężenia, zwiastujący orkan, nie trwał przecież długo. Otoczony i ściśnięty ekonomicznym materjalizmem polityki orleańskiéj, rewolucyonizm zachodni rozpadł się niebawem na tysiączne grupy rozjuszonych spekulacyi prywatnych i zajadłych swarów doktrynerskich. Przyduszony wśród gruzów, ruin i matactw, ogień pierwotny tlał wszakże w dolnych pokładach. Groziło to prawdopodobieństwem katastrofy najgorszéj ze wszelkich możliwych, bo chronicznéj i przebiegającéj z miejsca na miejsce, partyzanckiéj. W masie rozbitego, pokawałkowanego życia społecznego nie było spójni i jedności na tyle, żeby z niéj nowa całość, w drodze ogólnego przetopienia, zdołała się wytworzyć; ale było aż nadto materyału palnego, żeby pośród klęsk częściowych niejedno z nieśmiertelnych dzieł starego świata mogło spłonąć.

Przeczuwał to wieszcz polski. Cofnął się z placu, na którym poczerniałe od dymu rumowiska, oddać wkrótce miano w dzierżawą gumiennym Guizot'a lub Thiers'a—więc skupił się w sobie; zwołał do gromady rozpierzchłe po cudzych niebiosach władze twórcze, kazał im iść w krainę dum ojczystych, pod słomiane strzechy nowogrodzkich zaścianków, w niepokaźny świat tradycyi rodzinnych i gospodarstwa domowego, — świat niedostępny dla burz i wstrząśnień falujących zazwyczaj po wierzchach i wyżynach społecznych. Tak powstały nieporównanego wdzięku i nieprzebranych bogactw obrazy przyrodzenia nadniemeńskiego, owe pola malowane zbożem rozmaitém, owe puszcze i lasy „których cień spadał niegdyś na koronne głowy, groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy"; „owe karczmy chylące się po dwu stronach drogi, oknami wzajem sobie grożące jak wrogi"; owe obłoki „przejrzyste, sfałdowane, po wierzchu perłowe, po brzegach pozłacane, w głębi purpurowe". Wśród téj natury, jakby świeżo wychodzącéj z rąk Twórcy, wśród tego ludu prostego, szorstkiego, szczerego, rozsypanego po obszarach nietkniętych kołami i zębami cywilizacyi przemysłowéj, — tu dopiéro Mickiewicz poczuł się sobą, tu osadził pogodzone z życiem i ludźmi, a na obczyźnie lub przez obcych obalone i rozbite ideały. Uczucie miłości osobistéj, rozdarte w Gustawie walką z chłodnym rozsądkiem i twardością form przyjętych tym razem podąża na gody weselne radośnym gościńcem „naturalnego powinowactwa"; Tadeusz, dziecię zwichniętego w podstawie, nie na przywiązaniu opartego związku, kocha i bierze Zosię, córkę Ewy, wydanéj niegdyś wbrew skłonnościom

serca za innego, nie za Jacka Soplicę, którego kochała; wyrównana w ten sposób zadośćuczynieniem podstawa stosunków prywatnych oddziaływa zbawiennie i na stosunki pożycia obywatelskiego. Stargana w „Dziadach" harmonia wraca na gruncie ojczystym w skołatany rozterką organizm społeczny. Dusza Konrada, rzucająca się ze złorzeczeniem i groźbą na najwyższą sprawiedliwość, pokutuje tu w sukni zakonnéj Robaka—pokutą najwznioślejszą i najmędrszą, osnutą na pracy, usłudze i poświęceniu się dla pospolitego dobra. Pieśń wieszcza, nieszczęśliwa i smutna gdzieindziéj, jak i całe jego życie, chmurna, rozżalona i szalejąca, niby niemoc spętanych olbrzymów, po raz pierwszy na dziedzińcu soplicowskim, w gromadzie wieśniaków i szlachty okolicznéj wypogadza się, wyrównywa, płynie swobodnie, wesoło, ochoczo i jak to słońce na zaręczynach Zosi — własném, rodzinném ciepłém powietrzem westchnąwszy,— błogo, cicho, spokojnie zasypia... „Pan Tadeusz" jest z tego względu jedynym stróżem i opiekunem autentycznéj nauki Mickiewicza; jedyném niezmąconém źródłem swojskich przykazań wieszcza; jedynym probierzem wszelkich jego pomysłów. Inne utwory, wielkie i piękne jako dzieła sztuki, są pod względem idei społeczno-politycznych tylko pytaniami, tylko szaradami i zagadkami, rzuconemi w otchłań ideologii. Są to problematy obcego w wielu razach autoramentu, dla których prawo do swobodnego, obywatelskiego starania się o naturalizacyę udzielone być może chyba za pospolitą zgodą wszystkich panów braci Dobrzyńskich i okolicznych. To też sielski ten poemat, pomimo lekkiéj i żartobliwéj w wielu miejscach formy, pomimo wesołych i sarkastycznych wycieczek przeciwko pojęciom i położeniom, tu i owdzie ustalonym, ma swoją— wcale nawet nie podrzędną filozofię Filozofia to jednéj z naczelnych kategoryi umysłu ludzkiego: kategoryi zdrowego rozsądku... Nie ponętna to, nie olimpijska dziedzina — ten rozsądek zdrowy. Zniewoleni jednak jesteśmy zajrzéć na chwilę i na te jego szare, jałowe pola, gdyż lubo rozsądek ów „zdrowy" bywa niekiedy — w dziedzinie np. badań estetycznych — zwodniczym i zdradzieckim przewodnikiem, w bardziéj zaś złożonych kwestyach naukowych narazić nawet często może na śmieszność, to jednak staje się sędzią ostatniéj instancyi tam wszędzie, gdzie jest mowa o wynikach poszukiwań wszelkich, wkraczających w zakres wiedzy społecznéj. Formułowane przez niego wyroki lub uchwały zasadniczo-teoretyczne nie mają zazwyczaj donioślejszéj wagi, ale jego *veto*, zwłaszcza w obrębie zagadnień zastosowawczych i praktycznych, nie ulega prawie nigdy odwołaniu.

X.

Psychologiczna strona filozofii „zdrowego rozsądku“ tak się u Mickiewicza przedstawia: Rozum, myśl, umysł — nie jest mocen docierać do głębi prawd zasadniczych. Właściwość i zakres jego władz ogranicza się do tego, że tylko mierzyć i rachować może. Dotknie powierzchni najgłębszych tajemnic; dotrze ku szczytom najwznioślejszych w przyrodzie objawów Wszechmocy; wykréśli drogi, któremi kroczą słońca i komety; wytknie granice i stopnie najzawilszych kombinacyi morfologicznych; zsumuje i źróżniczkuje ilości, liniami i trójkątami obejmie przestrzenie—i otrzyma w końcu całość podobną do desenia, szkicu, zarysu obrazu, w który mistrz pędzla wléwa późniéj kolory, światła, życie — otrzyma całość, która jest mniejszą od prawdziwéj, nawet ilościowo. I gdy rozumem dalej różnicy dochodzi—„zginie wpierw nim w to ugodzi”. Tak nieraz kontroler robót publicznych napróżno sobie łamie głowę nad zdaniem sobie sprawy, zkąd się wzięła (lub gdzie się podziała) nadwyżka, którą otrzymał (lub powinien był otrzymać) z pracy trzydziestu dziennych robotników — w porównaniu do trzydziestodniowéj pracy jednego robotnika. W pzyrodoznawstwie synonim takich nadwyżek nosił niegdyś miano sił życia (witalizmu); w sztukach składają się one na idealność; w życiu jednostek reprezentują wolność; w zbiorowym pochodzie pokoleń wytwarzają postęp.

Umysłowe zdolności człowieka, — zapewnia Mickiewicz — władza czy też władze rozumowania, sądzenia, wnioskowania i t. d., któremi się nauka logiki zajmuje, nie są w stanie pojąć ani stworzenia, ani Stwórcy; nie pojmie ich również wyobraźnia — matka poezyi i sztuki; nie pojmie téż i uczucie — krynica natchnionego czynu. Rozczłonkowany i rozdarty duch człowieka podzielne tylko, rozbite i połamane wydać może systematy, teorye, doktryny lub dzieła. Dajmy astronomom, artystom, ustawodawcom wszelką potęgę, wszélkie środki i wszelkie talenta do przebudowania, odmalowania i urządzenia wszechświata po przez całą jege nieskończoność i wieczność, każdy zwróci go nam — od siebie, na swoją rękę — w takiéj postaci, że od pierwszego rzutu oka spostrzeżemy ograniczoność i niezdarność tych ułomnych; uspecyalizowanych całokształtów. Makrokosmos w swéj pełni i w swym majestacie odbić się może i odbija się wiarogodnie jedynie tylko: w pełni i majestacie swojego mikrokosmosu, którym jest dusza ludzka, albo raczéj duch człowieka, człowiek sam, — człowiek (jak się wyraża Mickiewicz), „który żyje w ciele, odłączony od ciała”.

Twierdzenie powyższe, roztrząsane, rozwijane lub stosowane raz z mniejszém, drugi raz z większém powodzeniem przez dawną szkołę filozofii angielskiéj (Baine, Mill, Spencer) tudzież przez celniejszych uczonych francuskich (Vacherot, Janet, Lévêque), dostarczyło studyom psychologicznym sporo cennego materyału; u nas, na naszym gruncie, doktryny umiejętnie zbudowanéj i dowodnie popartéj utworzyć stąd jeszcze niepodobna. Pogodzenie entuzyazmu z rozumem, o które Garczyński dopraszał się „u swojego jestestwa tajemnego, u swojego wewnętrznego człowieka, dla rozwiązania zagadki losów ludzkich", wtedy dopiéro nastąpiłoby może, kiedyby rzucone przez Mickiewicza ziarnko idei syntetycznéj skupiło przy sobie nareszcie z ugorów naszych naukowych choć tyle pokarmu, ażeby pomysł mickiewiczowski wykluć się zdołał ponad poziom niewłaściwych, często téż dotkliwych tłómaczeń. W téj saméj sali, gdzie się przed laty rozlegał głos Mickiewicza, uczeń znakomitych jego towarzyszów, profesor Lévêque, tak się wyraża o niezbędności całkowitego przerobienia podstaw umiejętności i filozofii: „Filozofia nowa — powiadał — obrać sobie musi zupełnie nowy punkt wyjścia. Wypada zbadać i w jedno zcalić rozmaite gałęzi i usystematyzowane działy wiedzy konkretnéj nie ze stanowiska specyalisty stojącego w centrum każdéj gałęzi umiejętności, lecz z punktu widzenia uogólniacza (*généralisateur*), który te odłamy wszystkie razem obejmuje i przenika. Praca to olbrzymia, ale też i skutki byłyby niezmiernie doniosłe. Ilekroć filozofia lub umiejętność traci z oczu ową obręcz zcalającą i jednoczącą, tylekroć owoc prac naszych więdnieje i zamiéra; synteza bowiem jest węzłem wszelkiéj naukowéj, literackiéj, artystycznéj działalności; bez niéj, cały świat moralno intelektualny rozpada się i rozkłada na coraz drobniéjsze cząstki doktryn i doktrynek: utylitarnych, materyalistycznych, ultraspirytualnych, mistycznych, aż dopóki nie dojdzie do zupełnéj anarchii, do zupełnego rozcieńczenia, w którém i ład i postęp znikają. Żeby jednak dotrzéć nareszcie do téj ogólnéj syntezy, od czego należy zacząć? Oczywiście od zcalenia poznawczych funkcyi naszéj duszy. Nie zaprowadzi gospodarz porządku w gospodarstwie, jeżeli w rodzinie jego niesforność panuje; nie odniesie wojsko zwycięstwa, gdy same z sobą się pokrzyżuje, pokłóci i pomiesza. Prawda ta, oczywista dla najprostszego zdrowego rozsądku, byłażby fałszem w zakresie badań filozoficznych? Czyliż można dociec głębszéj nieco, a raczéj wyższéj jakiéj i ogólniejszéj pewności połamaném na kawałki narzędziem poszukiwawczém? Alboż podobna dojść kiedykolwiek do porozumienia się w tém biednémnaszém gospodarstwie naukowém, gdzie każdy członek według innego systematu uprawę prowadzi. Logika osobno, estetyka

osobno, etyka osobno, psychologia osobno, polityka osobno:.. Nauka o duchu — jest dziś prawdziwą torturą i anatomią ducha. Skończmy raz przecie z antagonizmami, z antytezami i z całą tą logomachią szkolną, zachęcającą jedynie do turniejów i zabawek filozoficznych. Mamy przed sobą zadanie o wiele wznioślejsze; należałoby poszukać, jakimby sposobem stare nieprzejednalne kierunki pojednać w duchu nowéj wyższéj dążności...

Pojednawczość — syntetyczność!.. Chodziłoby może jedynie o wynalezienie narzędzia zcalającego, — retorty psychologicznéj, w któréj stopić by się dały dotychczasowe sprzeczności filozoficzne. Wieszcz nasz nie radzi cofać się przed trudnościami tak wielkiego zadania. Oceniając znaczenie jednego z utworów Garczyńskiego i przytaczając jego czterowiersz, w którym niebo i ziemia świadczą geniuszowi, jako s e r c u świadczy:

... Myśl wysoka,
Jako myśli — czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność,

Mickiewicz powiada: „Nic zwięźlejszego nad kilka tych wierszy ogarniających całą przestrzeń, którą filozofia polska przemierza. Garczyński utrzymuje, że serca wzniosłego dowodem jest myśl wysoka że myśl wsparta na wzniosłém sercu jest rękojmią czynów wielkich, że poeci, łącząc wiedzę z darem odgadywania, składają świadectwo prawdzie i nawzajem — czas im samym przyświadcza. Wszystko zatém ogniskuje się tu i początek bierze w sercu... Serce nie znaczy tu nic innego, tylko siedlisko ducha, pokrywę człowieka wewnętrznego. Wieszcze słowiańscy, którzy ciągle mówią o sercu, unikają używania wyrazu „głowa", jako jednoznacznego z „rozumem", „inteligencyą"; rozum bowiem i duch (dusza) nie są dla nich tą samą rzeczą. Z ducha myśl płynie i w ustach proroków staje się prawdą, która opanuje wieczność... Nigdy tak wiele ważąca zwrotka nie była ujętą w tak krótkie i zwięzłe słowa".

Nie podjęlibyśmy się ferowania wyroku, czy w tém określeniu serca, pojętego jako mieszkanie zbiorowéj władzy pojmowania istoty rzeczy, psychologia tegoczesna odsłoni dla siebie kiedykolwiek nowe jakie okienko na ciemne i głuche dotąd przestworza wiedzy o stosunku materyi do ducha, obiektu do subiektu. Nadmienić tylko wypada, że w jednéj z najgłośniejszych prelekcyi w Collège de France sławny fizyolog Kl. Bernard, roztrząsając pytanie: gdzie mianowicie umieścić należy ogniskowanie się wrażeń, które człowiek otrzymuje z zewnątrz, zniewolonym był w ostatecznéj swéj konkluzyi przyznać słuszność tym,

co radziby byli Mickiewiczowi przypisać pierwszeństwo w postawieniu największéj i najpłodniejszéj może w wieku XIX-ym hypotezy naukowéj. „Nie znamy umiejętności (powiedział profesor francuski), któraby dowodniéj od filozofii świadczyła o istnieniu duszy. Stwierdza ona niezbicie: 1) że ślady wrażliwości w systemie tylko nerwowym dają się spostrzegać; ale 2) że nerwowy ów system nie jest wrażliwy sam przez się, służy on bowiem jedynie do przenoszenia wrażeń; wrażenia dopiéro wtedy stają się dla nas rzeczywistemi, gdy c o ś z wewnątrz nas na ich spotkanie poślemy. Nie dość dla całości wrażenia słuchać trzeba jeszcze s ł y s z é ć; nie dość patrzéć, trzeba jeszcze w i d z i é ć (to jest miéć obudzoną wolę, chęć, zdolność, czy potrzebę widzenia). Owóż fizyologia nie może pochwycić owego wewnętrznego c o ś, nie umié dlań nawet miejsca wyznaczyć; opisuje i bada formalną stronę zjawisk, same narzędzia i pośredniki wrażeń; nie poczuwa się zaś na siłach do wykrycia odbiorczego, czyli dźwigniowego czynnika wrażeń. Nie mniéj wszakże jest prawdą, że czynnik ów, granica świata materyalnego i duchowego — istnieje. Wysoka tylko metafizyka zdoła może uświadomić w nas kiedykolwiek jego istotę."

Ta granica świata materyalnego z duchowym czémże innéin być może, jeśli nie sercem, któremu mowa całego rodu ludzkiego, nasza zaś w szczególności, przyznaje zdolność czucia i przeczucia; w którém się zbiegają nasze uciechy, smutki, nadzieje, zwątpienia; które odpycha nas wstrętnie od zbrodni, fałszu, niecnoty, a mimowolnie pociąga ku wszystkiemu, co wzniosłe, dobre i szlachetne? Sercem człowiek moralny w nas rośnie; ono w wieku młodocianym nas wychowuje i kształci; ono jest pierwszym pośrednikiem ślubów i związków, które na całe życie zawieramy. Jedno jego tętno, jedno jego drgnięcie wykréśla nam nieraz drogę, z któréj już nigdy późniéj nie zejdziemy. Błąd serca pchnąć nas może w otchłań cierpień, zgryzot i pogardy ludzkiéj, z któréj wydostać nas potrafią chyba dobre, wyższe popędy tegoż serca. Ono wkłada na nas obowiązki, ono nam praw naszych strzedz każe. Młode, dumne, pyszne, rzuca nas, jak Jacka Soplicę, na bezdroża; ale oto nagle, w chwili spełnienia zbrodni, — „rozpaczą jakąś i żalem do ziemi przybija"; ocknione, „zły przykład każe okupywać dobremi przykłady" i zmywać plamę na sumieniu „cichemi, użytecznemi czynami". Od kolébki do grobu serce nam z życia robi dramat, tragedyę—poemat lub sielankę. Przedewszystkiém zaś, jest ono domem naszym, — najmilszym w nim zakątkiem dla dumań tkliwych, dla marzeń tęsknych, dla natchnionych polotów myśli. Tu, w otoczeniu tych dum i natchnień, rodzi się i umiéra—geniusz. Kiedy po długich i ciężkich pracach rozumu, wyobraźni, pamięci zmęczony duch wraca z dalekiéj wy-

cieczki i do wypoczynku się układa, jak duch Newtona w legendowéj kontemplacyi pod drzewem, lub duch Keplera we śnie,—kiedy dokoła zapanuje cisza urocza i uroczysta, — zachodzi nagle drobny jaki wypadek w jedném ze zmysłowych okien duszy: spadające jabłko mignęło przed oczyma, psotliwa pamięć lekkiego szczutka dała wyobraźni... I oto rzutem błyskawicznym wszystkie naraz potęgi duszy zbiegają się w punkcie przytomności, wzajem ku sobie pochylone i wzajemnie się wspierające. W téj właśnie chwili mickiewiczowski „wewnętrzny człowiek" przejrzał się w absolucie; makrokosmos odbił się w mikrokosmosie; wszechświat, wszechstworzenie i wszechstwórca ukazały się duchowi ludzkiemu... Niestety, — zjawia się błyskawicznie, — więc téż i błyskawicznie mija —

Czémże me czucie? —
Ach iskrą tylko...
Czémże me życie? —
Ach jedną chwilką...

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości—i to już po raz drugi czy trzeci przypominać sobie musimy, że nastrój wyjątkowy wyjątkowym chyba tylko jednostkom na stałe przypisany być może. Wynika z samego układu okoliczności i czynników powodujących podniecona do jasnowidzenia jedność funkcyi duchowych, że tak niezwykłéj ekstazy niepodobnaby narzucić, w charakterze wzoru lub reguły, zwyczajnym trybom naszego postępowania. „Chwila, gdy się przedłuża... iskra gdy się rozżarza — zwala i stwarza" — utrzymuje Mickiewicz; ale ciągłą, nieustającą twórczością człowiek nie żyje; poezya ani powietrzem, ani chlebem powszednim stać się nie może. I nikt też tego nie potrzebuje. Bo jak odświętną równowagę władz duszy zdobywamy natchnieniem, tak znowu na równowagę powszednią zapracować możemy rozsądkiem zdrowym. Praca, nauka, rozmyślanie, pielęgnowanie cnót drobnych, trzymanie na wodzy pragnień goretszych, poszanowanie ideału i prawdy — one również dać nam mogą prawdziwe namaszczenie kapłańskie, w najszlachetniéj pojętém znaczeniu wyrazu. Najdokładniéj uwydatnia się tu nietylko teoretyczne, lecz nawet praktyczne, rzeczowe dobro filozofii Mickiewicza, która logiczny (rozumowy) system dochodzenia praw i prawd społecznych zastąpić pragnie systemem psychologicznym (duchowym). Zasadnicze cechy tego dobra mieszczą się wszystkie w ogólnéj charakterystyce „Pana Tadeusza", — w téj jego osnowie towarzyskiéj i obyczajowéj, któréj mistrzowskie zobrazowanie nazwaćby można „idealizacyą zwyczajnego, pospolitego życia"... Mierny, czerstwy, nie obdarzony żadnemi szczególnemi łaskami przyrodzenia lub wychowania świat spokoju i harmo-

nii ducha — to także swojego rodzaju wyżyna, o któréj zdobycie kusić się i walczyć warto. Słońce, które na tych płaskowzgórzach świeci, promienieje w jednostkach łagodną mądrością rozwagi, względności, wyrozumienia, pobłażania; w społeczeństwach budzi mierną i niehardą, lecz wierną i twardą cześć dla wszystkiego, co słuszne, uczciwe, zasłużone, w dobréj myśli poczęte; całéj zaś przyrodzie nadaje owo szczere, przyjaźnie uśmiéchnięte, losowi ludzi zacnych życzliwie przychylne wejrzenie, jakie gromadzie soplicowskiéj towarzyszyło wówczas, kiedy wnoszono zdrowie wodzów, Tadeusza, Zosi, — wszystkich, „których kto żyw spamięta i których zmarłych pamięć pozostała święta”...

I. T. Hodi.